

Piotr Cidyło:

Nazywam się Cidyło Piotr. Nazwisko pisze się przez jedno „l”, kiedyś były dwa, ale po drodze to się zgubiło. Urodziłem się 18.05.1922 roku we wsi Piorunka. Dawniej to był powiat Nowy Sącz, teraz zdaje się to jest województwo Nowy Sącz, przed wojną województwo krakowskie.

Ja miałem dużo rodzeństwa: brat i 4 siostry. Pięcioro i piąta siostra jeszcze, przybrana. Jak wojna pierwsza się skończyła, to ojciec adoptował dziewczynkę. Pochodzę z Beskidu Nowosądeckiego. Zamieszkuje go — , te okolice gdzie ja się urodziłem — grupa etniczna Łemków. I ja się wywodzę z tej grupy etnicznej. Na siłę później starano się mi wmówić, że my jesteśmy Ukraińcami, ale nie przyjmowaliśmy do wiadomości tej nazwy. Ja pamiętam bardzo dobrze, że nikt w okresie międzywojennym nie dał sobie wmówić, że jest Ukraińcem, prędzej wołał być Polakiem. I ja też nie chciałem, żeby mnie częstowano mianem Rusak, bo to grupa etniczna nie taka jak choćby Kaszub. Dużo jest w Polsce takich małych grup etnicznych, na przykład Ślązak. — „Kto jesteś, nie Polak, nie Niemiec a Ślązak.” Nie można powiedzieć jakiej narodowości jesteś, nie ma narodowości Łemków. I mnie się tak ułożyło w mojej głowie, że ja chcę, wolę i jestem Polakiem.

To się zakorzeniło już od tego czasu jak chodziłem do szkoły. Miałem kolegów już w tym czasie. Na to miała wpływ moja rodzina. W rozmowie z ojcem pytałem: „Tata, jak to jest z tymi Łemkami, kto my właściwie jesteśmy? Jesteśmy bardzo małą grupą, która tu zamieszkuje i diabli wiedzą, skąd się tu znalazła. nie wiemy jakie są nasze dawne dzieje i trudno by się było dogrzebać jak to było.” — A kim ty chcesz być? — pyta ojciec Ja mówię, że ja uważam, że jestem i chcę być Polakiem. A ojciec mówi: „No to bądź. Tylko uważaj, to cię zobowiązuje. Przede wszystkim masz być wiernym, masz być porządnym człowiekiem, żebym ja się później nie wstydził i żebyś ty sam się nie wstydził tego, bo to jest jakiś wybór. Bo widzisz, język my mamy trochę inny.”

Łemkowski język to jest taka zbieranina słów czeskich, polskich, ruskich, jak gdyby ukraińskich. Religia grecko — katolicka. Jak w szkole się uczyłem, chodząc do gimnazjum, no to tam też mi powiedzieli: „Jak chcesz, to możesz uczęszczać na religię, którą prowadzi ksiądz katolicki, a jak nie, to będzie przychodził ksiądz grecko — katolicki, iwasza grupa będzie chodziła do niego.” Stosunki między greko — katolikami a katolikami układały się bardzo dobrze, znakomicie. I część moich kolegów, w tym i ja, chodziliśmy na religię rzymsko — katolicką, bo mieliśmy bardzo mądrego księdza i lubiliśmy go. na religię rzymsko — katolicką.

Do szkoły średniej (czteroklasowe gimnazjum nowego typu), uczęszczałem w Gorlicach i dopóki się wojna nie zaczęła ukończyłem trzy klasy. Uczyłem się dobrze, to znaczy tych przedmiotów, których uczyłem się, na przykład chemii, bo jakiś taki niesforny charakter miałem. Jeżeli przeze mnie nauczyciel czy profesor był lubiany, to i przedmiot też. To z tego przedmiotu byłem celujący. A np. matematyki i geometrii uczyła nas taka pani profesor, do której nie mogłem się przekonać. Tak jej się trochę pończochy skręcały na nogach i to mi się nie podobało. I jakoś ta matematyka nie wchodziła mi do głowy, chociaż zawsze uważałem, że nauczyć się można matematyki i to nie jest problem.

Moi rodzice byli tam zasiedziali, w tym Nowosądeckiem. Matka posiadała jakiś ładny kawałek ziemi po swoich przodkach, a ojciec był gajowym i jakiś czas leśniczym. Dla niego sprawa lasu była pierwszorzędna, może dlatego, że kochał las. Pamiętam, rano wstawał o godzinie 4 — tej, brał flintę na ramię i szedł do rewiru niby oglądać, strzec przed złodziejami, ale to mu bardzo odpowiadało. To były lasy państwowe. On był urzędnikiem państwowym. Natomiast matka zajmowała się gospodarstwem na tych biednych ziemiach, bo to biedne ziemie górskie. Tam się udaje pszenica, żyto, ziemniaki bardzo smaczne. Tak smacznych ziemniaków już nigdy w życiu nie jadłem.

Moje dzieciństwo i młodość do wojny upłynęła w atmosferze spokojnej, bez żadnych sygnałów o konfliktach na tle wyznaniowym, o konfliktach między narodowościami. Tego nie było i ja tego nie znałem, aż się dziwię. Taki kawał słyszałem: „Słuchaj, kto ty jesteś? — Łemko. — Słuchaj ja ci dam 5 zł a nie mów „Łem. — Ba, Łem byście dali!”

Dalej byli Bojki, też taka grupa nieduża. I dalej Kołomyja i Huculszczyzna. Im dalej na wschód, tym wyraźniejsza była nienawiść między grupami etnicznymi. Ktoś ją podtrzymywał. Nie ktoś, my wiemy, że Niemcom zależało na wzniecaniu nienawiści między Polakami i Ukraińcami. Bo im dalej na wschód, to nikt nie powiedział: „Ja jestem Hucuł”, tylko „Ja jestem Ukrainiec. I tam już były te sprawy narodowościowe tak rozpalone, że wynikiły stąd straszne rzezie później, w czasie wojny. O tym słyszałem, ale mnie to przez całe moje życie nie dotyczyło. Za młodu nawet o tym nie słyszałem. U nas było dużo przypadków mieszanych małżeństw i nikt nie pytał z kim ty się żenisz. Nawet nikt by się nie odważył zapytać. Tak, że te warunki się jakoś zacierały. Bo tutaj właśnie, w tej enklawie, kończy się jak gdyby ten inny naród, ta inna narodowość zanika. I ona zanika w pełnym tego słowa znaczeniu. Może to właśnie sprzyjało temu zróżnicowaniu ogromnemu? Nie wiem, nie zastanawiałem się. W każdym razie u mnie tak było, że te sprawy nie doprowadzały do podziałów.

Jeżeli chodzi o miejscowość, gdzie ja się urodziłem i gdzie wyrosłem, ten naród nie miał nic do powiedzenia. To byli ludzie prości, bardzo często nie umiejący czytać i pisać. Ich sprawy polityczne nic nie obchodziły. Ludzie bardzo spokojni. Nieskorzy do bijatyk, chociaż one się zdarzały, jak to w górskich narodowościach. To pamiętam, że na jakichś tam zabawach młodzieżowych, bijatki zdarzały się, ale poza tym naród był spokojny. Polityka ich nie obchodziła. Obchodziło ich jak przeżyć do jutra. Czy starczy pieniążków na sól, na zapalki, bo region biedny był. Przemysłu nie było żadnego. Produkty rolne spieniężało się też ciężko.

Pamiętam jak po anszlucie Austrii, ojciec słuchał przemówienia Hitlera przez radio stojące na takiej specjalnej etażerce i w pewnym momencie trzasnął pięścią o tą etażerkę, że się złamała i radio spadło, bo miał tej przemowy dosyć. Ojciec był przeciwnikiem komunizmu, ale też był przeciwnikiem Hitlera. Ja to wynioskowałem, bo ojciec był małomówny. Pamiętam kilka jego rad, z których całe życie korzystałem i dobrze

na tym wychodziłem. Ojciec nigdy dużo nie mówił. Jak mówił, to z sensem. I gdy raz przy mnie czytał gazetę, to zaczął chodzić szybko po pokoju i mówi: Zobacz tylko, co oni piszą. Oni piszą, że nie ma strachu przed Niemcami, bo oni mają papierowe czołgi i z dykty. Czy ci ludzie tutaj w kraju zdają sobie sprawę co to jest? Czy oni wiedzą o potęgze niemieckiej stali?" Ojciec już wiedział, bo w czasie wojny był zabrany do austriackiego wojska i był w niewoli rosyjskiej. i jakiś graf rosyjski Koniczyn tam go wziął za takiego przybocznego swojego strzelca, bo ojciec pierwszorzędnie strzelał. Przeszedł z nim przez Japonię, przez Chiny do Ameryki, jako taki towarzysz. Dużo przy tym zwiedził, dużo się nauczył i później wrócił. Tak, że on miał jakiś przegląd tych światowych walorów. Ale o Niemcach był dobrego zdania. Zawsze mówił, że jeżeli będę się uczył czegoś praktycznego, to mam się uczyć od Niemców. I był bardzo niezadowolony z tego co pisały nasze gazety i mówił: „No zobacz, jak oni w błąd wprowadzają! Jaka to będzie straszna bieda, jeśli ludzie przyjmą za dobrą monetę to, że Niemcy pójdą na nas z papierowymi i z dykty czołgami! To jest czysta stal, kruppowska stal to jest.”

Miałem 17 lat jak się wojna zaczęła, więc do mnie dochodziły takie odpryski rzeczy mądrych. Ale byłem zainteresowany potańcówką, dziewczyną. Życie miałem dobre, lekkie. A sprawami poważnymi... to nie jest ten wiek i nie jest ten czas. W tym wieku też się ludzie zajmują poważnymi sprawami, jak są zmuszeni przez życie, to nawet bardzo poważnie traktują życie, ale ja — nie musiałem. Matkę miałem bardzo miłą, bardzo kochaną przez wszystkich. Ona była taką powiatową akuszerką. Znała się bardzo na tym, bo gdzieś studiów medycznych liźnęła, ale nie skończyła. Była taką ciocią opatrnościową, jak ktoś potrzebował pomocy, porady medycznej. A wiadomo, że ci biedni ludzie lekarza omijali, bo tam trzeba było płacić, a tych pieniędzy nikt za dużo nie miał. Więc chętnie chodzili do różnych babek, a jeżeli rozniosło się, że ta babka jest lepsza, prawie lekarz, no to drzwi się nie zamykały. I to matka była taką opatrnościową babką dla wielu ludzi.

Przyjaciół mieliśmy co niemiara. A wrogów trochę ojciec miał, dlatego że ganiał złodziei leśnych. A to była dla niektórych ważna rzecz, jak ściął taką jodelkę, bo za nią mógł dostać 15 zł w tartaku. Żydzi przeważnie mieli te tartaczki przy rzeczulkach górskich, no to było dużo pieniędzy. A ojciec miał swój wiejski wywiad, zaraz mu przychodzili, donosili: „Słuchaj, ten tam ściął, schował kawałek pod stodołę, a kawałek do tartaku zawiózł.” No to to pamiętam też, jak ojciec tam ochrzaniał i mówił: „Słuchaj, w tym roku już ukradłeś dwie i ostatnio jak ukradłeś, to nawet pnia nie przykryłeś porządnie. Czy to tak złodziej robi, żeby pnia nawet nie przykryć? Ja już nie mówię o poprzednich, już machnąłem ręką, ale teraz już trzeci raz poszedłeś! Przywieź te wszystkie trzy kawałki na skład. Gdzie masz to?” On mówi: „Jeden mam pod stodołę, drugi mam w łożinach nad rzeką. — A trzeci gdzie masz?” — Nie chciał powiedzieć. — „Jeżeli mi tego trzeciego nie przywieziesz, nic mnie nie obchodzi gdzie jest, jeżeli tego trzeciego nie przywieziesz, to cię każę aresztować!” — Aresztować to była wielka rzecz wtedy. Przed wojną to ludzie nie chcieli być aresztowani, nawet tacy co lubili ukrasć, to było jakieś wstydlawe. Z lasu ukrasć to nie było nic wstydlawego wśród tych górali. Nie było nic wstydlawego jodelkę z lasu państwowego ukrasć nie było nic wstydlawego z Czechosłowacji kontrabandę przywieźć. Zapalniczki, centrofugi, jakieś maszyny mniejsze... To nie było nic, to była sprawa honorowa, jeśli ktoś potrafił. Takie miałem dzieciństwo.

U nas przed wybuchem wojny nic się nie działo. To znaczy było wojska dość dużo, bo to czeska granica była tuż tuż. Więc naszych żołnierzyków było dość dużo. W Pieruncie też mieszkali. Pięknie śpiewali: na trzy, a nawet na cztery głosy. Ludzie się wszyscy bardzo cieszyli, że mamy wojsko, dziewczuchy szczególnie. Pytaliśmy się żołnierzy, czy będzie wojna. Dwa kilometry od nas, niedaleko od czeskiej granicy były rowy kopane, takie strzeleckie i umocnienia miały być. Pogoda była piękna, bo to był czas pięknej pogody. I ten oficer co to prowadził, mówi: „Słuchajcie, tę sosenkę to trzeba ściąć, bo widzicie, z tamtej góry to obstrzał i namiar kapitalny. To może być orientacyjnym punktem dla artylerzysty z tamtej strony. — A będą strzelać? — pytają się niektórzy. — No, ja liczę, że nie będą, że to się po kościach rozejdzie. Ale jak już tu jesteśmy, kazali nam umocnienia robić, to trzeba być na to przygotowanym.” — No i wojna się zaczęła.

Gdy rozpoczęła się wojna, to skończyła się, rzecz jasna, nauka. Ja myślałem o tej wojnie, tak jak u nas niedawno myśleli ludzie: że jak przyjdzie kapitalizm i będzie bezrobocie to jest coś takiego ekscytującego, że można się z tego pośmiać. Tak myślałem dokładnie, jak ludzie dzisiaj troszkę z drwinką mówią o bezrobociu. Tak z drwinką myślałem o wojnie. Jak człowiek, który nie przeżył nic, który nie wie, to za gehenna jest wojna. Tak jak ci ludzie u nas, to młode pokolenie nie wie, co to za bicz boży — bezrobocie.

No i wycofują się. W nocy. Nad ranem przyleciał brat młodszy mój i mówi: „Piotr wstawaj, bo już nie zobaczysz wojska. Już ich nie ma.” — Ja szybko biegnę ku zachodowi i idzie taka szosa z Krynicy do Grybowa i lecimy tam, żeby zastać jeszcze naszych żołnierzy. Po drodze znalazłem dwa magazynki po pięć naboji karabinowych.

Lecimy, ale naszych żołnierzy już żeśmy nie zastali. Idziemy z powrotem tacy smutni. Już wycofali się, to nie była ucieczka, to był manewr wycofywania się, żeby nie dać się okrążyć. Po południu roznosi się, że idą Niemcy. Poszliśmy znów na tę drogę, która prowadzi z Czechosłowacji. Ja jestem w mundurku gimnazjalnym, granatowym z niebieskim szlaczkiem, z daszkiem takim błyszczącym, taką wstążką. Bawię się jeszcze tym magazynkiem z nabojami, dochodzimy do sklepu — kooperatywy i stajemy. Maszerują przez wioskę Niemcy, jadą na tych swoich autach. To była jakaś górską dywizja z tymi szarotkami i osiołkami i wszystkim. Przejeżdża z oficerami samochód, taki łazik. Pełno ich tam było, czterech, czy sześciu. Zatrzymał się, jeden oficer spojrzał na mnie, wziął mi tą czapkę „Co to jest?” — mówi. (W niemieckim byłem otrząskany, bo u mnie i ojciec, i matka niemiecki znali, i to dobrze, a ja się też uczyłem — w szkole.) I ja mu potrafiłem odpowiedzieć, że ja się uczę, że ja jestem gimnazjalistą. A w ręku mam te naboje. On spojrzał: „A skąd to masz?” — Znalazłem — mówię. — Chodź tu., — za kołnierz mnie i do auta prowadzi. Ruszyli, jadą dalej. Zawieźli mnie do następnej wioski i on rozciągnął mapę i mówi: „Tu jest droga.” Ja nie wiedziałem, że nad rzeką była stara droga, a oni ją mieli zaznaczoną. Nowa droga

była dalej troszkę pobudowana. Mówię, że nie wiem. — O tej drodze ja nie wiem — mówię. ten oficer mógł mieć wtedy ze 60 lat. Wskazuje na naboje. — "Skąd to masz? — Znalazłem „ — odpowiadam. Przejechaliśmy przez ten czas może ze 2 km, poklepał mnie po ramieniu i powiedział: "Idź do domu„. Zatrzymali się i kazali mi iść do domu.

Nie miałem strachu wtedy. Proszę sobie wyobrazić, że ja się nie bałem. Na myśl mi nie przyszło, że oni mogą mi coś złego zrobić. Mało tego! Widziałem jak przy drodze, którą oni prowadzili te swoje osiołki, rosły buraki. Niektóre buraki wystają z ziemi, a jeden Niemiec miał chorego osiołka. Zatrzymał się, uciął kawał buraka i podstawia pod pysk temu osiołkowi. Zauważył to jadącyna motocyklu oficer, zatrzymał się dał mu po pysku dwa razy temu żołnierzowi ten poleciał z tym kawałkiem buraka i wsadził z powrotem.

Później przyszły następne oddziały i robili już coś innego, to sobie też to skonfrontowałem. Były to jakby dwie różne rzeczy. by dwie różne rzeczy. Jakies zasady to oni w swoim wojsku mieli i coś się tam plątało ludzkiego, tylko zostało wyparte przez te nowe nauki płynące z "Mein Kampf„, czy poprzez "Mein Kampf„, poprzez ideologię. Ja pamiętałem jak ojciec się wyrażał, że Niemcy to naród kulturalny. Przecież oni dali światu najwięcej wielkich ludzi, więc skądś się to musiało wziąć, że ojciec był tego zdania. A np o Czechach ojciec, wyrażał się niechętnie i nieładnie, bez szacunku. To wynikało z kontaktów. Bo jak on był w tej szkole kadetów, czy jakiejś tam w Austrii, we Wiedniu, to tam byli też Czesi. Jak dorośli rozmawiali między sobą, to usłyszałem takie wyrażenie: "A tam Czesi, jak czapkę po Czechu znajdziesz to kopnij ją!„ To było żartem powiedziane, ale ten żart też zapamiętałem i całe życie do grobowej deski będę pamiętał. Pewnie, że na sto procent nie miał racji, naród jak naród. Każdy naród składa się z dobrych ludzi i złych ludzi. To wiemy o tym. Ale może on miał na pieńku Czechami? Ja na przykład Litwinów bardzo nie lubię, Estończyków bardzo cenię, Finów bardzo cenię. Z nimi znów się spotkałem na Sybirze. A Litwinów nie lubię. To są rzeczy subiektywne, czasem bardzo. I ja nie muszę mieć racji. Ale tak się ułożyło.

Niemcy robili w sklepie zakupy. Między innymi zabrali z tej kooperatywy takie dwukilowe puszki z landrynkami zostawili pieniądze. Nie wiem ile pieniędzy, ale zostawili marki. Czyli nie zabrali za darmo.

No i zaczyna się ta okupacja, która nam na tej wiosce zabitej dechami nic nie robi. My żyjemy po swojemu, jeść mamy co, ubrać się mamy w co. Ale powolutku do nas słuchy dochodzą, że ci Niemcy to nie są cacy, cacy. Pytam ojca: "Tata jak to jest z tymi Niemcami? Zabierają naszych do Niemiec„. Ojciec mówi tak: "Słuchaj, to jest taka sprawa, że ty do szkoły nie chodzisz, to żebyś i ty nie dostał jakieś karty powołania do tych Niemiec. Ja w swoim nadleśnictwie powiem, a zacznij pracować„.

Z początku mieliśmy radia, a później trzeba było oddać. A ojciec jako taki służbista, to radio pod pachę i zaniósł. Później zaczęli rejestrować takich młodych i zaczynają zabierać do Niemiec do roboty. Łapanek u nas nie było. Struktury administracji Niemcy zachowali takie jak istniały. Ja poszedłem do nadleśnictwa. Nadleśniczy, był Ukrainiec, od Lwowa przysłany czy z Niemcami przyszedł. Ale spokojny taki, specjalnie się ludziom nie naprzykrzał. I ze względu na ojca, zatrudnił mnie przy eksploatacji drewna. Wypisywałem kwity wozakom na drewno, które wysyłano do tartaku, do Grybowa 14 km. Tartaki już były przejęte. Żydom już wszystko pozabierali, ale jeszcze ich nie wywozili. Ja nawet namawiałem tych Żydów, co byli blisko, żeby uciekali w lasy. Nie skorzystali z tego. Mówię: "Tu wam ludzie pomogą, przeżyjecie, szalasy sobie porobicie tam wyżej w górach tam was nie znajdą„. Ale nie skorzystali z tego. W Grybowie powstała firma "Hobak„, która przyjmowała to drzewo. Nie miałem ciężkiej roboty, siedziałem przy drodze w takim domku pobudowanym i zapisywałem. I tam przepracowałem 1940 rok chyba od połowy, nie pamiętam dokładnie, bo z początku to się objałem, i 1941.

W 1942 roku pojechałem do Nowego Sącza, bo tam miałem coś załatwić, coś tam miałem kupić i wtedy zdarzały się już łapanek. I mnie się przydarzyła tam łapanek. Miałem pecha, bo u nas te łapanek były rzadkie. W Nowym Sączu wpadłem w łapanek i wywieźli mnie do Niemiec. Bo młody, nadający się. Wywieźli mnie do Berlina. Zresztą, tak szczerze mówiąc, jak się młodym jest, to się nie rozpacza w takich wypadkach. W takie sprawy, że mnie zabierają od rodziny... jakoś tam będzie. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z grozy sytuacji, z tego że wszystko się jakoś zmienia, że wszystko co było, przestaje być. O tym człowiek nie myśli, nie jest w stanie myśleć. To jest prawo młodości.

Z Krakowa urządzili transport i wylądowałem w Berlinie w firmie "Henschel Flugseng — Werke„, to jest zakład budowy samolotów Henschel. Bardzo dużo tam cudzoziemców było, Francuzi, tacy co w niewoli byli, wojskowi, obóz Rosjan był tam. Zrobili tam dwa obozy bardzo strzeżone dla tych wojskowych. Myśmy mieszkali w oddzielnym obozie, Rosjanie cywilni też. Bardzo dużo u tego Henschla pracowało, chyba ze 25.000 ludzi tam było. To była potężna firma. HJ 88 to są szturmowce dalekiego zasięgu, tam robili te samoloty. I bojowe — krótsze, ale dziś już nie pamiętam jakie. Zakłady były usytuowane pod Berlinem. Półtora kilometra od nich znajdowały się obozy. Zacząłem tam pracować. Ochrona tam była, ale nie taka ostra, tak że z tego obozu można było wyjść. Kiedy się wychodziło poza obóz, trzeba było nałożyć na ramię opaskę z literą "P„, ale można było to "P„, zwinąć i do kina iść. Kuchnia była wspólna, bardzo głodowa, bardzo kiepska. Ale wyjść można było. Tylko teraz już nie pamiętam, czy do dwudziestej, czy do dwudziestej drugiej trzeba było powrócić.

Pamiętam jednego razu, że wyszedłem stamtąd i "P„, zdjąłem. Podeszedłem do policjanta, (to był Schonefeld, trochę za Berlinem, ale tramwaj dojeżdżał) i płacę mu 3 marki, a on pyta, za co — Żeby mi pan wypisał karę, bo ja nie mam "P„. — Patrzy — No a gdzie ją masz? — Tu w kieszeni. — Dlaczego? — Dlatego żebym już więcej nie płacił, bo jak raz zapłacę, to starczy. Niemcy ciężko myślą i dopieroza jakiś czas jak zaczął się śmiać i mimo, że było brudno, usiadł i śmiać się do rozpuku. I mówi: "Chłopie, chodź do mojej komendy, jak ja to opowiem, to wszyscy się będą kulać ze śmiechu„. I poszedłem z nim. Pełno ich tam było, z ośmiu. Szef pyta co on tu chce, a on mówi do mnie: "Opowiadaj!„ — "Wyszedłem z obozu po pracy i chcę iść do kina, a z tym nie będę paradował.

Zdjąłem więc „P” i podszedłem do policjanta, żeby mi wypisał cetel, żeby nikt więcej mi nie brał. Trzy marki zapłacę i w porządku. Czy dobrze zrobiłem? „Kierownik był najinteligentniejszy, kapnął się od razu i tej reszcie opowiedział jeszcze raz, żeby do nich doszło. To ryczeli pół godziny, aż za długo dla mnie było. — Jeszcze takiego kawału nam nikt nie zrobił! Dobra jest, wychodź kiedy chcesz bez tego cholernego „P”! Oni mi nie napisali żadnego zaświadczenia.

Stosunek Niemców do pracujących był też okrutny. Na każdego jest jednak sposób i jeszcze każdy człowiek ma to, co się nazywa szczęściem. Ja w swoim życiu miałem dużo szczęścia. Nie wiem czy to jest szczęście, czy to jest nieszczęście, może to nie pozwoliło mi zginąć. Chociaż ci, co zginęli, mieli dawno spokój, nie martwią się. Ja miałem dużo szczęścia, nawet je miałem później, gdy w Rosji byłem. To wyjdzie z mojej relacji. Że nawet ci Rosjanie, moi wrogowie zagorzali, to mnie mówili nieraz, że z takim nieprzyjacielem to idzie żyć. Czy ja wiem, na czym to polega? Trzeba może uchwycić odpowiedni moment. Nie jest tak, że człowiek musi demonstrować zawsze te najgorsze rzeczy. Tak było tam u nas. Oni bili naszych. Ale w tym obozie naprzykrzali nam się umiarkowanie. Chociaż Berlin dysponował takimi hakatystami cholernymi, (o Bawarii np. to ja mam inne zdanie, to są lepsi ludzie) to przecież w okolicy Berlina tak się zdarzyło, że rozśmieszyłem tego cholere. Jak mnie któryś z nich zobaczył, to z daleka się śmiał. Bo ich rozśmieszyłem. Bo było coś takiego, że im się podobało. Ja tego nie nadużywałem. Mówiłem sobie „Tylko nie przeciągaj struny, bo jak chwycę...”,

Ale ja później poprawiłem sobie opinię znów inną rzeczą. Tłumaczem byłem dla cudzoziemców w kasie chorych. I wychodząc znalazłem portmonetkę z dużą ilością marek niemieckich i oddałem to na sztabie, bo jechałem do 4 — tego obozu. Mówię — Znalazłem pieniądze. Jak ktoś się zgłosi, to proszę. Na przystanku tramwajowym. — Czekaj, to zapiszemy co jest — odpowiedzieli i oni to opublikowali. To ja mogłem w tym obozie dużo świństw zrobić, że by mi przestali wierzyć. Po prostu to było moje szczęście. Ja później nie kupowałem kartek, ja miałem tyle kartek nieraz na mięso i na chleb, że gdyby mnie z tym Gestapo złapało, to bym był bez sądu od razu rozstrzelany. Już sobie pozwalałem za dużo. Wykorzystałem tę szansę. Przecież ja dużo naszym ludziom tam pomagałem. Ale to było moje szczęście, szczęście o tyle, że mnie nie złapali.

W tym obozie przebywali ludzie, których nie znałem. Z mojej okolicy nie było nikogo. Jak zajmowałem się tą kasą chorych, ilu ja zdrowych ludzi do Polski posłałem, dlatego że zdobyłem sobie zaufanie wśród Niemców. Prowadzałem chorych ludzi do Cosen, tam była komisja. U Niemców zaskarbiłem sobie zaufanie. To nieraz bywało, że lekarz niemiecki nawet nie sprawdzał, kogo ja wypisuję do domu tylko zatwierdzał. Przecież z Łodzi to mi zaczęli paczki przysyłać. Odmówiłem, bo to było niebezpieczne. Bo kapną się Niemcy, szczególnie ci spoza obozu, ci z Gestapo — za co, co i jak. Wymówiłem sobie: „Ja sobie tego nie życzę, nie róbcie tego!”, Masę ludzi do domu posłałem, zdrowych zupełnie. Był taki moment, że wysłali raz mnie Ukraińców na urlop i wtedy mi się zachwiał. Ja załatwiałem te wszystkie papierki, a oni byli ze Lwowa, z Drohobycza. Załatwiałem te formalności wszystkie. I te skurczybyki, pojechało ich chyba 200 a tylko pięciu wróciło. I mnie wtedy do tego dyrektora, do tego politycznego. A ja mówię: „Panie dyrektorze, przecież w człowieku ja nie siedzę, skąd ja mogłem wiedzieć? Nie wrócili. Ja znam ich język, ja tu mogę się z nimi dogadać, ale co w nich siedzi..? — Ale oni teraz wszyscy pójdą do partyzantki, oni będą nas bić! — Powiedziałem „Niemieckie kule są twardsze od tych co, oni będą mieli.” Znów się roześmiał i kazał mi iść, ale byłem na włosku już. Zło wyładowuje się najlepiej na tym, kto jest pod ręką.

Jak się wojna kończyła to był największy mój strach. Bo w lutym w 45 roku zaczęli na wyrwyki brać gdzieś takich, którzy nie byli najniezbędniejsi do produkcji. To znaczy, nie nefachowców. Cały czas wojny przebywałem w tym samym miejscu. Ponieważ ja pracowałem w izbie chorych i załatwiałem sprawy biurowe, a Niemcy dbali o to, żeby nie było zakażenia, to w tym baraku dostałem taki pokój dla siebie. Mieszkając tam miałem więcej wygody. To nie za to, że ja robiłem jakieś niewłaściwe rzeczy, tylko za to, że bym był mniej narażony na jakieś zakaźne choroby, że bym tego nie niósł bezpośrednio do Niemców. Taka była ich myśl przewodnia.

W barakach ogólnych były prymitywne piece, takie prostokątne, były brykiety. Brykietami się opalało, nie w dostatecznej ilości, ale nóg nikt tam nie odmroził. Chłodno dosyć było, ale jednak trochę sobie napalili. Z jedzeniem było kiepsko. Chłopcy się ratowali jak mogli, ci z Warthegau dostawali paczki isię niektórzy dzielili. Trochę handlowali, marki gdzie mogli kupowali.

Ruch oporu był niemożliwy. Ucieczki były, ale kończyły się niedobrze. Przeprowadzali z powrotem po jakimś czasie, przepuścili przez karny obóz i paru tam zginęło po drodze, a trochę z powrotem do pracy przyszło. W każdym razie u tego Henszla były warunki złe, ale nie tragiczne. Bo jak się słyszy, jak się czyta i jak słyszałem, to były w niektórych zakładach znacznie gorsze.

W lutym 1945 roku zebrali nas może dwie setki, wsadzili w dwa autobusy i zawieźli w okolice Cottbus, do jakiejś wioski nad Nysę do kopania umocnień. Oni mi tam powiedzieli, ten zastępca dyrektora: „Ty, Piotr, jedziesz też, bo musimy kogoś wysłać, żeby tego wszystkiego pilnował.” To nieprawda, ja nie miałem nic do pilnowania, tylko on mi chciał to osłodzić. Oni uważali nas wszystkich za ostatnich zbirów. A takie coś, żeby Polak znalazł pieniądze niemieckie i wrócił — tego oni nie mogli przełknąć. Oni woleliby, żeby się to nie stało, ale stało się, i jakoś ja byłem im taką kością w gardle. Ponieważ oni są wychowani tak jak są, to odpowiednio na mnie patrzyli. Oni mnie nie traktowali inaczej, tylko inaczej patrzyli. Dlatego: „Ty jedziesz też, bo musi ktoś nad tym czuwać.” Ja nic nie czuwałem, mnie o nic nikt nie pytał, ani nie rządziłem, ani nie miałem nic do gadania. Jechałem kopać transzeje.

Trafiłem na wysokości Gubina, to od Cottbus troszeczkę, jakieś wioski były. Tam nie było już okien z szybami i framugami od bombardowania, bo tam już i samoloty bombardowały i artyleria. Tam mnie przysypało porządnie, bomba czy pocisk artyleryjski i tam zastanawiałem się, czy ja żyję, czy nie żyję. Na tamtym świecie —

mówią — tak samo człowiek widzi. A ja widziałem wszystko na czerwono tak i znów straciłem przytomność. Ocknąłem się i widzę chmurki. — To kumuluski są — myślę sobie — to ja żyję, ale co z rękami? Prawą — władam, lewą — władam, prawą nogą — rusza się, lewa noga też. Ale się ucieszyłem! — Cholera, to jestem jeszcze we wszystkich kawałkach, dobra jest! — Znów straciłem przytomność i czuję, że mnie odgrzebują. Myślę sobie teraz „To ty bracie wiesz stąd! Będziesz czekał aż cię następny trafi bezpośrednio!? To już nie będzie co ratować! A tak się jakoś zrobiło, nie wiem czy Rosjanie odeszli, przegrupowywali się, czy Niemcy odeszli, zrobiło się luźniej na tym odcinku. Jakies były trawki porobione, to z dwóch łodzi, to jedna łódź, to jakieś zbite dechy, z dragów. Jakoś na tym odcinku luźniej się zrobiło i ja wybrałem moment do ucieczki. Sznury były poprzeciągane na drugą stronę, bo bystra była ta rzeczka, wybrałem moment — Raz kozie śmierć i tak tu mnie utłuką! Nikomu nic nie mówiąc po tym sznurze. O mało mnie ten prąd nie zabrał, ale znalazłem się na drugiej stronie i teraz szybko tylko do Ruskich. Bo kogo szukać, żebym miał co jeść, żebym trafił to do swoich? Tylko do swoich, a swoi to byli Ruski, bo oni biją Niemców! Jak najdalej od Niemców.

Przeszedłem, ja wiem, nie całe pół kilometra, na koniu bojec jakiś jedzie — Halo, towarzyszu! — A nie wiedziałem, że to był taki towarzyszu. Nie bał się mnie absolutnie, bo nie zrobił żadnego ruchu, jak do wroga. Mówi: „Zdrastuj. — Ja od Niemców. — No to daj rękę.” Ja mu dałem rękę, a on w tył zwrot i mnie prowadzi. Dom jakiś stał, pewnie mała wioska, Zaprowadził mnie, tam kilku oficerów. „Uciekinier.” — mówi Nazwy tej wioski nie pamiętam. Oficerowie siedzą, dali mi spirytu. Ja całe życie jakoś nie byłem trunkowy, ale wtedy trochę wypilem, ciepło mi się zrobiło, taki zadowolony, taki wesoły. — No to kiedy będę mógł jechać do domu? — Zaczekaj, zaczekaj może jutro. — Jutro dali mi dwóch, odprowadzili do sztabu.

Jak mnie odprowadzili do sztabu. do pokoju jednego, kazali oddać pasek. — Jesteś aresztowany, ty jesteś szpieg! Jaki szpieg? Bójcie się Boga? Ja tam kopalem, przejechałem przez Nysę! — Ty jesteś szpieg! Małczyj! Nasz zwiadowca czekał na ciebie, on patrzył, przez półtora dnia ciebie wyglądał. — Jakie półtora dnia? On na koniu jechał, ja go zawołałem! — A on mnie po twarzy z jednej strony, z drugiej strony, o ścianę się obilem i mówię: „Towarzysze co wy robicie? — Jakim ja ci towarzyszem jestem, twoi towarzysze w lesie wyją pod sosnami! O cholera, to klęska! Tak zaczęła się moja klęska. Takie było moje spotkanie z wyzwoleńczą armią. To, czego się nie spodziewałem nigdy.

Przetrzymano mnie w chlewiku do następnego dnia nie pytając onic, nawet jak się nazywam. Tylko pod eskortą trzech ludzi na następny dzień wyeksponowano mnie do sztabu pułku. I tam dowiedziałem się, że jestem zatrzymany przez III Armie I Ukraińskiego Frontu, a może na odwrót, I Armie III Ukraińskiego Frontu, tego dzisiaj nie wiem, jakoś mi się wykruszyło z pamięci, pod zarzutem szpionarzu frontu Armii Radzieckiej. A na moje słowa, że to nieprawda w ogóle nie zwracano na to uwagi. W czasie pierwszego przesłuchania za stołem siedział sędzia śledczy, przedstawił się ale ja nie pamiętam jak on się nazywał i zaczął pytać. Imię, nazwisko, wiek, skąd pochodzę, skąd przybywam, no i przede wszystkim z jakim zadaniem, kto mnie wysłał. Ja wciąż nie, on wciąż swoje. I on mówi: „Będziesz mówił wszystko i radzę ci, nie bój się. Ty myślisz, że jak powiesz wszystko, że przyszedłeś z zadaniem od Niemców, to ciebie od razu rozstrzelamy. To wcale nieprawda.” Zaczyna mnie zachęcać, że to nie będzie taki straszny, że ja mam się tylko przyznać, że przyszedłem szpiegować armię radziecką. Mówię, jak było — Przecież ja przyszedłem sam. Przepląnąłem, bo miałem dosyć, bałem się po prostu, że mnie tam jakkolwiek pocisk, albo bomba. Mam zginąć tam, to przecież, gdy będę przepływał przez tę rzekę, to najwyżej mogę się utopić. Całe moje ryzyko! A jak się dostanę do was, no to już ryzyka żadnego nie ma. — He, he, to się pomyliłeś! — I zaczynam mu opowiadać swoje. On zdenerwowany nie chce słuchać. Chce, żebym mu odpowiadał kto mnie przysłał.

Tam mnie trzymał chyba ze dwa tygodnie i codziennie po 12 godzin — wciąż pytania te same i moje odpowiedzi te same. Przetrzytywali mnie przeważnie w chlewikach, bo tam małe okienko i zawsze dwóch stało przy tym okienku. Byłem tylko sam. Jakaś słoma była narzucona, bo to było jeszcze zimno. Byli i inni w innych chlewach, ja z nimi nie miałem kontaktu. Ja byłem tylko sam. Stamtąd znów dwóch mnie zaprowadziło do sztabu armii i po drodze chcieli mnie rozstrzelać, bo wyskoczyło tam z dziesięciu drabów i mówią: „Szpiona prowadzisz, a co się z nim cacka!” Tamten mówi: „Do sztabu armii. — A co tam do sztabu armii, odsuń się my go tu zaraz załatwimy!” — A ja mówię: Czekajcie, czekajcie, ja mam ważne wiadomości, które pozwolą wam uchronić dużo waszych żołnierzy. — Co on mówi? Co on mówi? — A ten co mnie prowadził to był Ukrainiec, bardzo dobrze mnie zrozumiał od razu. — On wam mówi tylko tyle, że ma bardzo ważne wiadomości. — Ja mówiłem po polsku. A ten pyta: — Cemu nie powiedział tam? — A ja mówię: „Powiedz mu, że to jest takie ważne, że nawet w sztabie pułku tego nie mogłem powiedzieć.” I to mnie uratowało. To jest taki błysk, czasem człowiek mobilizuje się, nie wiem skąd i jak, bo by mnie rozstrzelali.

Dostaliśmy się do sztabu. I tam od razu też w jakimś chlewiku, też w jakiejś stodole, ale tam już było czterech. Nie pamiętam, jaka to była miejscowość, po pierwsze to bardzo dawno, po drugie — nawet się nie pytałem. Inni aresztowani pytali, za co mnie aresztowali. Odpowiadałem: „Za to, że Nysę przepłynąłem i mówią, że jestem szpiegiem.” — No, to niewesoła sprawa. Oni się tam długo nie patyczkują, szpieg nie szpieg rozstrzelują i koniec.” — Dziwiłem się, jak tak mogą rozstrzeliwać, a oni mi powiedzieli, że dużo tu takich. — Ręce drutem z tyłu wiążą, po piętnastu, po dwudziestu niedaleko tutaj zaraz łożyny są, rozstrzelują, słychać bardzo dobrze. Dzisiaj też będziesz słyszał jak będą rozstrzeliwać. — Ładnie mnie pocieszyli! — Jeżeli ci mówią, że jesteś szpieg, to jesteś szpieg i nie masz co gadać! Był wśród nas rosyjski żołnierz nie wiem za co, nie pamiętam. A on mówi tak: „I wiesz co, jeszcze jedna sprawa. Ty się dogadaj z tym, co będzie prowadził twoje śledztwo. Kto wie, czy nie uratujesz życia, jak będziesz mówił to co on chce. On za ciebie dostanie gwiazdkę, że szpiega rozowlażył, (po

polsku to będzie: wykryć szpiega, obnażyć, dojść do sedna), a ciebie nie koniecznie muszą skazać na śmierć. Ja ci to mówię, ja jestem stary więzień, ja się na tych ustawach znam.”

Wszystko brałem pod uwagę. Jak tam było czterech, to już zawsze miałem na uwadze, że jeden, albo dwóch to jest podstawionych, żeby mi szeptać i słyszeć co ja mówię. Ja brałem to pod uwagę. Miałem też swoje przemyślenia takiego rodzaju, bo ja jestem trochę sentymentalny. Myślę sobie: „Jasna cholera, łeb człowiekowi ukręca i żaden Kmicic, żaden Wołodyjowski!” Bo wiadomo, człowiek naczytał się tej literatury pięknej, czyny bohaterskie, jeżeli się umiera, to za coś, a tu za nic, za przejście przez Nysę. Nic, nic się w życiu nie dokonało, za capową duszę się umiera. To była moja tragedia, choć nigdy nie byłem tchórzliwy. Śmierci się nie bałem, ale myślę sobie: „Za nic rozwalą człowieka! Żebym chociaż był na tyle mądry, żebym szukał czegoś, za co warto by było! A tu nic. Ani nie pożyłem na tym świecie, ani nic nie zrobiłem, no to jak to jest?!” To była moja tragedia, z tego powodu się martwiłem.

W tej armii to już mnie wozili z sobą, już gruntownie mnie przesłuchiwali. Wozili, bo to zależało od frontu, jak front szedł. Zwykle te pięćdziesiąt km za frontem się ten sztab wlecze. Ilość osób, która ze mną szła, to się bardzo zmieniała, bo dużo rozstrzeliwali. To chyba ze sto ludzi było zawsze. Bo to zawsze dojrzałem przez jakąś szparę, albo posłyszałem.

Rozstrzeliwali codziennie, albo co drugi dzień. Nie pamiętam rozmów z ludźmi których potem rozstrzelano. Tam ludzie niechętnie rozmawiali. Tam każdy czuje swoją gehennę, tam każdy czuje swój zgon. A jeżeli rozmawiają, to wszyscy są bardzo zdenerwowani i jeżeli prowadzą rozmowy, to one są typu zaczepnego, nieprzyjemne, niedobre. Tak że nikt tam swoim nieszczęściem wołać się nie dzielić. A już tak otwierać się jeden przed drugim — to już szkoda gadać! Było też dość dużo Niemców, niektórych wypuszczali i przy nas przepaszali. Chyba wpadali tacy Niemcy, którzy byli komunistami. Dostarczano ich do sztabu a potem okazywało się, że to nie ci, których należało aresztować. Był taki przypadek przy mnie: jeden mówił, że jak po niego przyjdą, to i na progu przeproszą. I tak się też stało. Też nie wiem z jakiej miejscowości. Dużo ludzi wozili, ale dużo szło pod karabin maszynowy.

Jedzenie dawali kiepskie, bo takich ludzi nie ma co karmić. Raz, żeby nie mieli siły za dużo, a drugi raz — przecież i tak niedługo skończą. Nie miałem apetytu i padałem szybko na siłach fizycznych i psychicznych. I taki byłem umęczony. To trwało od 20 lutego do końca kwietnia.

I tak pod koniec kwietnia, ostatnia dekada, myślę sobie: „A do cholery, mam tego dosyć!” Skorzystałem z tego, co mi podpowiedział ten Rusek. Zdaje mi się, że on Denisow nazywał się, ten mój śledczy, ale nie jestem pewien. On mi zafundował raz obiad chyba swój. I ja wykorzystałem to. Ja mówię: „Słuchaj, ja już nie mogę więcej. Nie mam siły fizycznej, ani psychicznej, pomóż mi napisać to oskarżenie na mnie. Tak jak uważasz, ja podpiszę. — No widzisz, dawno już trzeba było tak. — Mówię — Ty będziesz miał gruc w chrestach, a ja głowę w kustach.” (ty będziesz miał piersi w krzyżach, a ja głowę w krzakach — to jest takie powiedzenie tych żołnierzy ruskich). A on na to: „Nie będziesz, nie będziesz. Ja ci ręczę, że nie będziesz miał głowy w kustach.” Mówię: „Mam ci zaufać? — Możesz, możesz, zobaczysz.” —

No i sfabrykowaliśmy obaj oskarżenie. Zgrabne. Pamiętam, żeten co mnie „zwerbował” w Niemczech nazywał się Dobrowolski, zapamiętałem. Innych nie pamiętam. Do wywiadu niemieckiego. Takie inne drobiazgi też, nawet jakiś czas pamiętałem, ale zapamiętałem to nazwisko jedno. On mi podpowiadał. — No i widzisz, no przypominałeś sobie! — Przypominałem — mówię. — A dlaczego nie od razu? — Od razu to jakoś ciężko tak., — Sporządził, podpisałem, 9 maja mnie sądzili i dali mi 20 lat. To oskarżenie to on przynosił i mi czytał, coś niecoś żeśmy dodawali. Rozprawa to było trzech: sędzina i dwóch ławników chyba, ale tego śledczego nie było. Wszystko wojskowi. To cała trójka. Ta rozprawa miała miejsce koło Berlina. Gdzieś w Cosen, nie wiem. — Czy to jest prawda wszystko co tu jest napisane? — Tak, to jest prawda wszystko. — No to dali mi 20 lat. Pamiętam paragraf 1 b: zdrada ojczyzny, inne też były, alenie pamiętam. Uzasadnienie wyroku: szpionarz. Ale to 6 — tka była, paragraf szósty, ale jak to było? Sądzono mnie jako Polaka, bo tam był wciśnięty jeszcze ten 1 b, który dają Roskim wszystkim, to jest zdrada ojczyzny, czy coś takiego. To jest dziwne. A ja z niczym już nie polemizowałem, nie byłem pewien, czy mnie zaraz potem nie rozwalą na drugi dzień. Jeszcze mi powiedział ten śledczy: „Ja ci powiem jeszcze jedno, to jest szczęście, że cię nie oddałem twoim ziomkom w ręce, bo już byś nie żył.” Nie wiem, dlaczego on mi to powiedział, ani co miał na myśli. — Ty nie narzekaj, że my cię tu przesłuchujemy do końca i że my cię będziemy sądzić. — To zapamiętałem też, ale co miał na myśli, czy to był blef jakiś zwykły?

Jeszcze pod koniec śledztwa któryś z nich powiedział: „Wy nas nie lubicie.” Ja mówię: — „Panie sędzio, ja wychowałem się w określonych warunkach, wśród określonych ludzi. U mnie w domu i wśród ludzi, gdzie ja się wychowałem, to nie było nienawiści do Związku Radzieckiego ani do innych krajów. To ja się nie nauczyłem ani was nienawidzić, ani kochać. Tak byłem wychowany, ja sobie miejsca nie wybierałem.” A on mówi tak: „O widzisz, to teraz pojedziesz do nas i tam pobędziesz i nauczysz się nas kochać. A będziesz tak długo, dopóki nie pokochasz.” J mówiłem po polsku, a on mi po rosyjsku, ale rozumieliśmy się świetnie. I tak uczyli mnie 10 lat pokochać ich. Co prawda to nie dobili się tego, żeby ich pokochać.

Nauczyłem się za to świetnie po rosyjsku. Bo w Rosji spotkałem profesora języka rosyjskiego, Niemca z nad Wołgi. Ten mnie zaczął maglować. Piotr, żebyś nie zginął tutaj, w tym obozie, to musisz się nauczyć perfektnie po rosyjsku.” Ja miałem go nieraz dosyć. On mówi: „Jeszcze tę deklinację przerobimy, jeszcze tę koniugację, no nie śpij.” I gdy wyjeżdżałem z Rosji, jeżeli się nie przyznałem, że nie jestem ruski, to nikt nie poznał. Teraz to już trochę pozapominałem, nawet ojczysty język się zapomina. Temu profesorowi zawdzięczam bardzo dużo. On mnie nauczył po rosyjsku bardzo dobrze, ale na początku rosyjskiego prawie nie znałem. Trochę mówiłem

łemkowszczyzną, trochę ukraińskim i rozumiałem ich bardzo dobrze. Pamiętam jak śledczy powiedział: „Będziesz u nas tak długo, aż się nauczysz nas kochać.”

No, nie nauczyłem się. Minęło dużo czasu. Tym niemniej zauważyłem dużo cech Rosjan jako narodu. Jestem zdania np. że Rosjanie nie mają, nie osiągnęli z sufitu swojego rozwoju. Jest to naród, który się będzie wciąż rozwijał. Naród bardzo zdolny, naród nieszczęśliwy. Taką mają paskudną historię. Car się nie spieszył, żeby ulżyć swojemu narodowi. Trafili później na tego cholernego Lenina, który ich strasznie oszukał, wyprowadził w pole, bo byli głupcami, jako ciemny naród dali się oszukać. Ale są zdolni i mają bardzo dużo dobrych ludzi między sobą. Ale światem nie rządzą dobrzy ludzie, tylko ludzie mądrzy i bezwzględni. Tacy rządzą światem.

Teraz musiałbym opowiedzieć jak jechałem. Ta droga trwała od maja do października. Najprzód zorganizowali eszalon, a po polsku — skład pociągu. To było wagonów tych dużych rosyjskich, sześćdziesiąt może, bo tak na zakręcie to było widać tył tam daleko i przód tam daleko. Zwykle towarowe pociągi, tylko były zrobione takie w podłodze wyrąbane kwadraciki i to były takie ubikacje, bardzo wąskie i wybite takie. Niektórzy bardzo cierpieli, bo to trudna sprawa była, żeby się załatwić. Wyjazd nastąpił gdzieś w Niemczech, ale to nie był Berlin. To było gdzieś, gdzie jest teraz NRD, ale gdzie — to trudno mi się zorientować. Ale to było na terenach niemieckich. Był zorganizowany ten zestaw pociągu. Napakowali w ten pociąg wszystkich osądzonych. Ten pociąg to stał, to jechał. Wpierw pojechaliśmy do Lwowa. W pociągu było trochę Niemców, Polaków niewielu, najwięcej Rosjan — żołnierzy trochę było ruskich bandziorów. Ci ostatni najpierw zaczęli nam odbierać wszystko co im się podobało i zaczęli rządzić przy wydawaniu zupy, komu ile dać. Przyszedł wojskowy i powiedział: „Słuchajcie błatnyje, każdy musi dostać swój pajok, czy jest swój, czy błatnych, czy to jest diabeł. Pamiętajcie, nikomu nie wolno zabierać. Co inne jak ci podaruję, np. sweter, to jest wasza sprawa.” To znaczyło, że jak mu zabierzesz sweter, to ja nie wnika. I ja tam miałem pierwszą scysję z bandziorami.

Trudno powiedzieć ile w jednym wagonie było osób, ale tam były prycze, dwa pięterka i parter. Ciasnota, zatłoczenie. Ja — żeby nie męczyć się na widoku — poszedłem w sam narożnik na dole i znalazłem tam taką dziurkę, przez którą dochodziło czyste powietrze. Tam zrobiłem sobie ze swoich lumpków leżenie, spanie, a w twarz wiało mi świeże powietrze. I to był najmądrzejszy pomysł, na jaki mnie było stać. Wychodziłem wtedy tylko, jak przynosili jedzenie: zupę i do podziału chleb.

Zawieźli nas najpierw do Lwowa. W wagonie były bójki i swary. Ja bardzo dużo spałem. Mam taki organizm, że jak na coś czekam, to śpię. W domu, jak czekałem na rodziców, że mi coś dobrego przywiezą, to spałem. Tak mój organizm się broni. I teraz też, jak jestem zmęczony, albo żona gdzieś poszła do miasta i ja czekam na nią, to najchętniej zasypiam. To jest już niezależne ode mnie. Tak było i wtedy. Przyjechaliśmy do Lwowa, nic takiego nie było. Jak długo trwała podróż — nie wiem, może miesiąc trwała. Później ze Lwowa pojechaliśmy do Kijowa. W Kijowie powiedzieli, że tam wokół są jakieś obozy, że może część tam zostawić. Ale nie zostawili.

Enkawudziści przychodzili, wodę przynosili do picia, i chętnie rozmawiali z bandziorami. Najgorszy wróg dla nich to polityczny. A jak jeszcze polityczny 20 lat ma, to jest wróg do kwadratu. Najlepiej to skazańców na smyczy prowadzić, tylko nie można, bo ich jest za dużo. Później pojechaliśmy do Kijowa. W Kijowie też nikt nie został.

Kryminalni więźniowie to byli jakby funkcyjnymi, oni byli bliżej zwierzchnictwa. Władze były reprezentowane przez tą ochronę NKWD. To byli żołnierze, podoficerowie przeważnie. Oni po zupę wołali trzech, czterech więźniów. Chleb w jakimś prześcieradle przynosili. Ale przynosili ci, co mieli najmniej lat do odsiedzenia. 10 lat, to był mały wyrok. Z dziesiątkami wołali. Ale jak ktoś miał 15, 20 — no to cięższe przewinienie — to tych nie chcieli, nawet do pomocy. Później okazało się, że jedziemy po dwóch miesiącach chyba do Mikołajewa, do Taganrogu. Bo tam obozy, kopalnie tej rudy żelaznej. Ale Taganróg nie przyjął, bo było za dużo z dużymi wyrokami.

To już było lato, gorąco, ale ja nie miałem gorąco, bo miałem świeży syfon powietrza z tej dziury. Inni się pocili jak cholera, a ja nie. Nikomu się nie chwaliłem. Ja miałem dobrze. Nie było możliwości wyglądnienia przez okno. Gdzie jesteśmy to mówili, jak drzwi otwierali na jedzenie. I trochę dochodziło głosów z zewnątrz, ktoś zawsze tam krzyknął, jak to ludzie na stacji. Najczęściej miasta się omijało, postoje były gdzieś na uboczu.

W pociągu nie zaznajomilem się z żadnymi rodakami. Ani nie byłem zainteresowany, ani nie było z kim, ani chyba w tym pociągu, w tym przedziale nikt się nie deklarował, nikt mi nie mówił, nie było nikogo, kto wyraziłby chęć kontaktu. Jak borsuk do tej swojej dziury uciekałem. Kontakt z ludnością nie było, nawet na stacjach, to nie były dworce dla cywilnych; zresztą wszystko było daleko obstawione mrowiem enkawudzystów, że blisko nie podchodził nikt. Tam nie było mowy, żeby sobie z kimś pogadać, żeby komuś powiedzieć: „Przekaż to a to, tam i tam.” To był jakby pociąg zadzumionych.

Tam w Taganrogu nas nie przyjęli i myśmy stamtąd pojechali tym samym pociągiem do Poltawy na Ukrainie. Tam zachorowałem, dostałem gorączki. Jakieś lekarstwo dostałem. Przychodzi lekarz, przynosi mi drożdże pitne. Na co to miało być — nie wiem, i jakieś lekarstwa, pastylki i to mi minęło. Jadąc przez Ukrainę parę razy dostaliśmy taką jarzynową zupę dobrą, bo tam warzyw jest od cholery i trochę. Poczułem, że się wzmocniłem od tych warzyw. Takich wymieszanych, mój pies by tego nie jadł, ale dla mnie to było dużo. To organizm bardzo potrzebował.

W Charkowie we więzieniu byliśmy, tam nas do więzienia dali i pamiętam, że jak przyszedłem do celi, to cela prawie pusta, olbrzymia. Parę dziadków w tej celi. Mówię: „Dlaczego tak pusto?” — Wszyscy poszli do łaźni. — To które miejsce mam zająć? — Tam usiądź sobie., — Taki miałem w kulkę płaszcz zwinięty jakiś. Po jakimś czasie przychodzą, pewnie ci błatnyje, bandziorki te, usiedli niedaleko ode mnie. — Posuń się dziadek. — A płaszcz mi rozwijają od razu, bo oni zabierają paczki i cały dobytek innych i dzielą między sobą. Jeden pyta się: „A ty skąd?”. Odpowiadam: „Nowy tutaj jestem.” — A kto, skąd, jakiej narodowości? — Polak jestem.” — A za co

ciebie wzięli. — Za co? Za bank.,, Oni wszyscy za złodziejstwo, a ja tak zażartowałem. — Jak to się robi?” A ja znałem te opowieści o Szpicbródce i czytałem dużo kryminałów. Zacząłem mówić. Zrobiłem sobie Eldorado, bo oni są ciekawi. Musiałem przez noc opowiadać, nie mogłem przejeść miodu, tego sała ich i kielbasy, chcieli mnie w żarcu utopić. Myślę sobie już, żeja tutaj rozstroju żołądka dostanę. — Jak tam u was w Polsce? — Jak? U nas we więzieniu to się paczki nie odbiera, to jak jest się człowiekiem, to paczek się nie odbiera. Pieniądze to tak, ale paczkę to nie. — Bardzo im się spodobałem. — Ty mi na takiego nie wyglądasz — mówi jeden — na takiego chojraka. — Bo co? Bo mały? Mały! Ale uderzyć to mnie nie uderzysz. — Co!? Ja cię zabiję! — Spróbuj. — No a ja przecież sportem się trochę zajmowałem, jak to młody. Bójką wręcz też. On się na mnie zamachnął, ja mu rękę w kłame, on w krzyk, a ten ich starszy Wasia mówi: „O job twoja mać! Widzisz? Widzisz, ten mały Polaczek dobrze, że ci ręki nie zламаł!” — A co byś ty zrobił jak byś napotkał takiego jak ja? — pyta Wasia — Na takiego to są inne chwytty. Przepraszam, ja ci krzywdy nie zrobię, a tylko pokażę jak to. Z tyłu chwyt przez głowę mu pokazałem. — Zamachaj rękami, jak będziesz miał dosyć! — O job twoju mać! — mówi — Ty jesteś bandzior, ty jesteś nasz.

Bo to naiwne jest, bez inteligencji, bystrzy dosyć, bezwzględni. I w tym Charkowie byłem z nimi wszystkimi, bo stamtąd organizowali etapowe pociągi. Przy nich się odkarmiłem. Nadrobiłem to, co po drodze straciłem.

O samym więzieniu nie mam nic do powiedzenia, bo tam nic nie widać. W tej celi było chyba 60 osób. Ta cela miała około 70 m kwadratowych. W tej celi zetknąłem się z Polakami. Tylko, że nas rozdzielili. Bo ja później szarpnąłem im z tego żarcia też. Tam się ludzie do siebie trochę trudno przyznają, tak nieśmiało, ale jak widzieli, że ja opływam w to żarcie, no to nieśmiało jeden, drugi, trzeci: „Słuchaj, czekaj.” i ja im troszkę podebrałem. Z ich wiedzą. Powiedziałem: „Słuchaj, ja mam tutaj Tadka takiego, swojego rodaka.” Bo ci bandyci są dosyć uczynni, jak się do kogoś przekonają, jak zaczynają kogoś lubić, to oni się podzielią. Bo Rosjanie też są tacy, że jak ma, to się podzieli, ale jak ty się nie podzieliś, to ci leć utnie. To jest w ich mentalności. I nie tylko bandyci, ale inni też. O władzach więzienia nie mogę nic powiedzieć, nie stykałem się z nimi. O strażnikach też nic. Miałem swój wyrok i czekałem tylko na etap. To trwało chyba z trzy tygodnie. Na etap na Workutę mnie przeznaczili.

Jak się dowiedziałem? — Wychodź z rzeczami! — Już w tym samym dniu, w tej samej godzinie, w tej samej minucie „wychodź z rzeczami” na korytarz, siadaj, pakunek między nogami i siedź tak długo, aż ci nie powiedzą: „Wstawaj i jazda na dworzec!” Etapem. Pełno psów, pełno enkawudzistów i do pociągu, i do wagonów. I jedziemy na północ. Tam też szukałem w wagonie takiej dziurki, takiego miejsca, żeby powietrze było. Ale to już było chłodniej, to już było wtedy, gdy ta Hiroszima się zdarzyła, ta bomba. Myśmy wiedzieli o tej bombie, to było głośne, strażnicy mówili i nas powiadomili, gazety nam podrzucili do środka. To była wielka rzecz i tego zataić nie chcieli. Może nawet celowo tak, propagandowo to było ustalone.

Przyjechaliśmy do Kotlasu, to jest najbardziej na północ wysunięte miasto rosyjskie. Już wiedzieliśmy, że jedziemy dalej na północ, już wiedzieliśmy, że jedziemy na Workutę. A jak przejechaliśmy tajgę, jak już się skończyła, drzewa coraz mniejsze, mniejsze i zaczyna się tundra. Tundra to karłowata brzoza i wierzba, wiecznie zamrożona ziemia i tam wiosna, lato i jesień trwa trzy miesiące. Ziemia rozmarza na półtora metra, jeżeli jest cieplej, to do dwóch, a jak zimniej to na metr tylko. Tylko kałuże się tworzą, a wiecznie zamrożona ziemia jest na 150 m wglęb. Tundra, wiadomo.

Workuta dla zesłańców była budowana jeszcze za carskich czasów. A komuniści to jak raj rozbudowali. Tam domy cztero, pięciopiętrowe stoją też, ale na kostkach 50 m głęboko i 50 m szeroko beton. Bo od tego ciepła, co daje dom, to by ta wieczna zmarzlina roztałała i dom by się przewrócił i wszystko by się pokrzywiło. Na betonowych olbrzymich kostkach to całe miasto stoi. Wtedy niewysokie, a teraz w telewizji pokazywali te domy, to już znacznie wyższe, niż gdy ja byłem. Tam jest morze węgla. Od półwyspu Karelskiego, aż do Cichego Oceanu. Cała tundra, 2.000 km ten pas, pomijając tylko góry Ural, które już zanikają, tam do Białego Morza, to jest jeden węgiel. To jest węgiel młody, to nie jest antracyt, ale węgiel zalegający bardzo głęboko i bardzo szerokim pasem. A znów tam gdzie Ural jest, to są te najdroższe kopaliny z uranem włącznie. To jest bogaty kraj. I nas tam zawieźli, żebyśmy kopalni węgiel.

Tam same kopalnie, kopalnia na kopalni. Jak tam zaczęliśmy dojeżdżać, to już niektórzy słyszeli od kogoś, co tu jest. Dowiedziałem się, że tam są kopalnie, że tam jest przemysł związany z kopalniami, tzn. warsztaty różne naprawcze, takie fabryczki — warsztaty. Zacząłem myśleć co mówić, żeby mieć wpływ na wybór pracy. Na kuchnię byłoby najlepiej, bo byłoby co jeść, ale tam tyle tych cwaniaków, kuchnie okupują ci bandyci... Nie miałem możliwości wyboru, ale trzeba było myśleć, żeby przez spryt coś chwycić, żeby nie zginąć. Więc do kuchni, myślałem z początku, ale myślę sobie: „Tam się nie dostanę. Bo tej mafii bandyckiej to nie pokonam ani sprytem, anitym bardziej siłą.” Jak byłem w Niemczech, to pracowałem na takiej hali 10 — tej, mechanicznej, tam pracowałem na tokarni, na frezarce, to są ciekawe rzeczy. Ja się szybko uczę. Pomyślałem: „Może tutaj będę w tych warsztatach. Powiem, że jestem tokarz, że jestem frezer, może tutaj coś?” Trafiliśmy na kopalnię nr. 3. Ale powiedzieli nam, że na kopalni nr.3 nie zostaniemy, że pojedziemy w inne miejsce. Niektórych z nas, nie wiem na jakiej zasadzie, ale paręset ludzi wyczytali i powieźli nas z powrotem do tajgi, czyli te 1000 km z powrotem na południe do miejscowości Lemlu.

Wysadzili nas w śniegu. To był październik, ale śnieg już tam był po pas. Wysadzili nas w tej miejscowości z pociągu i wyladowali wszystko z tego pociągu to jest kilkaset pił, kilkaset toporów, tacek, takich prymitywnych narzędzi. I powiedział jeden z tych enkawudzistów: „Ja tutaj będę kierownikiem i będziecie sobie, chłopcy, budować szybko baraki, bo idzie zima i zamarzniecie wszyscy. Będziemy rąbać najpierw drzewa i budować baraki. I to szybko róbmy, bo zamarzniemy.” Tam zaczęliśmy rąbać te świerki, najwięcej tam świerków, strugać, obrabiać to wszystko i z tych okrągłaków budować baraki. Tam stały tylko namioty. Nie takie, które by się nadawały na

północ, ale śnieg nie leciał. Takie beczki po benzynie były w środku ustawione, jak się podpałiło, to wokół beczki trochę ciepło było. To znaczy już sam namiot, jak w nim żyją ludzie, jak mieszkają, oddychają ciepłym powietrzem plus te beczki, to trochę już ciepło jest. Nie jest sięna zewnątrz, tam się nie zamarza. Wydano nam odzież. Watowane spodnie, watowana kurtka, bielizna, ten kożuszek, walonki, prawie wszyscy to dostali nowe, w dobrym stanie. Czapkę uszanke, dobre rękawice, wszystko w dobrym stanie jak na północ. Ja ocenilem, że to jest dobre. Najlepszy przykład, że ja nic nie odmroziłem.

No to — pomyślałem sobie — tutaj człowiekowi żaba cyca da. Na szczęście długo tam nie byłem. Uciekł jeden Czech, jeden Amerykanin, nie wiem, czy autentyczny, czy tylko się podawał za Amerykanina i jeszcze ktoś tam. Trzech uciekło stamtąd. Wszyscy mieli po 20 lat, tak jak ja. Pozbierali więc dwudziestolatków, jacy tam byli — i z powrotem na Workutę. I to, że oni uciekli, to mnie pomogli. Bo komendant tego obozu nie chciał z nami mieć do czynienia. Myśli sobie: „Ci z dużym wyrokiem, to im jest wszystko jedno, to oni będą uciekać.” I wysłał nas na lepiej strzeżone miasto. Przyjechaliśmy z powrotem do Workuty.

Takie ekstremalnie ciężkie warunki nie sprzyjają żadnym rozmowom. To tak jakby człowiek na pół umarł. Nie to, że człowiek nie chce rozmawiać, ale jakoś nie może, nie może się zdobyć na to. Jeden drugiemu nie robi przykrości, ale nie jest nastawiony na to, żeby..., nie ma chęci z nikim rozmawiać. To jest sprawa dla psychologa. Ludzie nie chcą rozmawiać. Ludzie muszą bardzo ciężko pracować, później przychodzą do domu to chcą natychmiast jakoś odpocząć. A przy tym wszystko jest takie straszne, tak obciąża psychikę człowieka, że na więcej już sił nie starcza. Nie starczy pomysłu, nie starczy krzty inteligencji, która się gdzieś tam w człowieku telepie, gdzieś się tam rusza, żeby wydobyć, wyartykułować swoje myśli.

Jak wróciliśmy z powrotem na tę Workutę, mnie skierowano, na tę kopalnię nr.3. Wtedy zaczęli nas rozdzielać do jakiej roboty kto. No i był taki stół i parę tych komisji. Ja trafiłem przed komisję: — No ty Polaczok, co ty umiesz robić? — Jestem tokarz, ślusarz. — Muszę się czegoś trzymać. Nie powiem, że jestem piekarz, albo że jestem kucharz, bo tam nie trafię ipójdę do kopalni na dół. Jak mi każą tam grzebać węgiel, no to tam się pogrzebię i koniec. — Aha, to gdzie ty pracowałeś ostatnio? — Ja mówię: „W Niemczech, w Berlinie u Henszla, samoloty robiłem.” — Jakie samoloty robiłeś? — Il 88, te co wam tak w dupę dawały fest! — O, ale ty pyskaty jeszcze jesteś! —

Tupet to jest drugie szczęście w życiu, spraktykowałem sam. Kto to powiedział? Kmicic, bo ja z naszej literatury, z naszego Sienkiewicza, to co 5 lat czytam od nowa. Całą trylogię, niech się nikt nie śmieje. Ja na tym wychowany jestem.

I zapisali mnie. Trafiłem na Rems, remontowy warsztat. A tam spotkałem jednego takiego Kozaka, taki niezgrabny nosek miał. Od razu się zaprzyjaźniłem z nim. On był mistrzem. Uskow się nazywał. — Ty jesteś z Polski? — Tak, widzisz trafiłem. Żaden tu ze mnie wielki specjalista, nie licz na mnie, że ja ci tu cudów zrobię. Jak mi nie pomożesz, to tu mnie wykopiesz na jutro. A takiego gwinta samodzielnie ustawić — a mieli tokarnie starego typu — to ja na gwint ci nie ustawię. Tego nowego typu, to ja ustawię, a tego to nie. — Dobrze, ja ci pomogę, bo jesteś kochany, bo się przyznajesz, jesteś szczerzy. W porządku. — I on mnie tam zatrzymał i mnie utrzymał. On mi uszykował drogę na kopalniane wyciągi. Ja u niego się utrzymałem, to miałem lekki kawałek chleba, że nie zniszczyłem zdrowia. Bo ci co szli na dół kopać ten węgiel, no to tam nawet mocny człowiek długo nie wytrzymał. Wpierw mieszkalem w obozie nr III, potem zostałem przeniesiony do obozu nr IV albo V, o zaostrozonym reżymie, gdzie przebywali ci z wyrokami od 15 lat w górę.

Na dole, to jest tak jak w kopalni u nas. Długo trzeba zjeżdżać, iść na ten swój oddział na piechotę. Warunki tam prymitywne, chociaż tam te wrębiarki, te maszyny co rąbią są też. Ale łopata trzeba też dużo pracować, to dużo pochłania energii. A wyżywienie w obozie było kiepskie. Było podzielone na tak zwane kotły. Pierwszy kocioł dostawał ten, kto nie pracował ciężko, kto nie wyrabiał normy; dostawał 250 g chleba i miskę zupy — pół litra. Na drugi kocioł dostawał 50 g chleba więcej i tej zupy o 50 g też więcej. Na trzeci trochę więcej. Aż 5 kotłów było różnych. Z tym, że piąty dostawał kawałek mięsa, ale nieduży, może 50 g tego mięsa i pieczoną bułeczkę do tego z białej maki, jakiś dodatek. Różnica nieduża ale jednak znacząca. To dostawali brygadziści, sztygar, elektryk, fachowcy jacyś w kopalniach. Albo za dużą normę. Ale jak wykonał tak dużą normę, to stracił tyle energii, że to mu nie poszło na dobre, a raczej na złe. Bo więcej stracił energii, niż potem zjadł

Baraki tam były standardowe, w środku były dwa rzędy słupów. Pomiędzy słupami było 2.5 m albo 3 m wolnego miejsca, to był taki jak gdyby korytarz. Od każdego słupa do ściany to była taka długość, że na długość, mniej więcej wysokości człowieka. Ściana z jednej strony i drugiej, i dach. Posadzka z desek. Dach dwustronny, spadzisty a sufit również z desek. Ten barak, tak na oko strzelam, był długi może 50, może 60 m. Ogrzewany był w dwóch miejscach piecami na węgiel. Jak przyszła mocna zima, to tam zbyt zimno nie było, ale ciepło też nie było. Były sienniki, wypchane przeważnie takimi dosyć delikatnymi strużynami z drewna, heblowanym drzewem, albo sienniki ze słomy. Nie zawsze, ale czasem były. Koce zwykle, obskurne derki bez żadnej bielizny. Czy ja czułem, że mi jest zimno jak śpię? No nie, ale byłem młody. Teraz to chyba by mi było zimno. Jak człowiek mógł się tam umyć? Była umywalka, przy wejściu na lewo, z lewej strony i z prawej strony. To było koryto i podwieszone drugie korytko z takimi urządzeniami, że jak się nacisnęło na taki wystający sztyft metalowy, to wtedy leciała woda z tego korytka podwieszonego. Ręce można było umyć i można było umyć twarz też, ale prymitywnie. Nawet od biedy szyje, ale woda zimna, chłodna. Jeden raz w tygodniu szło się do bani — po rosyjsku, do łaźni, inaczej mówiąc. Tam można się było umyć gruntownie ciepłą wodą i wyparzyć nawet w tej fińskiej łaźni. Rosjanie to bardzo lubią, ja zresztą z biegiem czasu polubiłem też. Na zdrowie czyni to bardzo dobrze, jeżeli człowiek jest młody i zdrowy, bo dla starszków to na pewno nie jest. Dziwiłem się, że jest na zewnątrz 40 stopni mrozu, a ja wyskakuję rozprężony z takiej łaźni, biegnę wokół domku, w tym śniegu, idę i znowu się parzę i się nie przeziębiam. I to jest

fakt. Trudno uwierzyć, ale to jest prawda. Oblewa się człowiek wodą gorącą na przemian z zimną, idzie się na te stopnie coraz wyższe, gdzie operuje ta sucha para, a do tego są takie miotłki brzożowe do pobudzenia obiegu krwi. Jeden drugiego jeszcze omiata, to znaczy biczuje tą miotłką. Dobra rzecz.

Szkoda że u nas są w inny sposób urządzone, bardziej po europejsku te fińskie łaźnie, szkoda, że za mało w Polsce u nas jest takich łaźni. A jeżeli są to dosyć drogo trzeba płacić. Tam ma się to za darmo, jeden raz w tygodniu.

Ja sobie to nawet chwaliłem. I czysta, biała bielizna jeden raz w tygodniu też. I co dziwne jest, że w tych warunkach, na tej Workucie, ja przez cały mój pobyt nie widziałem wszy, ani nie miałem. Ta jedna zmiana w tygodniu, to starczy, żeby nie mieć wszy, a oprócz tego trzeba o siebie trochę dbać, żeby nie odmrozić nóg. Trzeba pilnować, żeby walonki były suche, a onuce — bo skarpetek tam nie było — żeby były czyste. To każdy osobiście musi dbać.

Z tych starych bywalców, którzy byli zagnani na tę Workutę wiele, wiele lat przede mną, to jeden mi jeszcze opowiadał: „Synku przeżyjesz tę Workutę, ale musisz uważać, żeby mieć zawsze czystą bieliznę, suche walonki i to co masz na sobie, żeby nie było dziurawe i żeby nie było przepocone. Nawet chlebem zaplać, a wymień sobie, żebyś miał odzież czystą i suchą.” Tego się trzymałem. I rzeczywiście tak było. Ja nie odmroziłem tam nic. Jak był mróz większy niż 40 stopni i trochę wiatru, to trzeba było nos schować, taki sobie zrobić domek z kołnierza, żeby nie chwytać powietrza z zewnątrz, tylko z tej zasłony kołnierzowej. No bo wtedy można by płuca odmrozić od razu, bezpośrednio oddychając powietrzem zimniejszym niż minus 40 stopni. Tak mówili ci co co na tym się znali bardzo dobrze, którzy tam mieszkają od iks lat.

Polaków, którzy by mieszkali tam bardzo dawno, to nie było; albo ich już nie było. Mówili o Polakach, którzy budowali tam kolej, która tam była położona, te szyny. To mówili Rosjanie do mnie tak: „Synku, pod każdym podkładem kolejowym tu twoich dwóch braci leży. Ja widziałem, bo ja to z nimi budowałem.” Na pewno tak było. Pewno ze 2.000 km tej kolei tam jest. Jedna nitka tylko, drugiej nie potrafili jeszcze, nie zdążyli jeszcze położyć — tylko jedna — bodaj że od Peczory, od Kotłasu. Ale i tą nitką dowieźli zawsze tylu więźniów, ilu potrzebowali.

Zaopatrzenie przywozili tam bardzo skromne. Przez pierwszych 5, 6 lat to ja nie widziałem tam żadnych warzyw. Ludzie tracili tam, zęby, panował skorbut. Ja bym też nie miał swoich zębów, gdyby nie Estońcy, którzy czasem otrzymywali paczki. I gdyby nie Niemcy z nad Wolgi, którzy byli wolno osiedleni tam, żeby nie tworzyli piątej kolumny. Niemcy z nad Wolgi, którzy byli w Rosjod Katarzyny I Stalin wysłał na Sybir i w kazachskie stepy. A pracowali jako maszyniści na windach wyciągowych. Ja się z nimi przyjaźniłem. I oni ze zwykłej ludzkiej przyjaźni, zaopatrywali mnie w cebion, lek przeciw skorbutowi, warzywa zawsze na wiosnę. I tylko ja przyjechałem do Polski ze wszystkimi swoimi zębami, a i teraz jeszcze połowę mam swoich własnych zębów, a mam 70 lat. Ale to zawdzięczam tylko — jak by powiedzieć — swojej dbałości, żeby nie rzec egoizmowi. W tym względzie to jestem trochę egoistą, bo dbałem o siebie bardziej, niż wszyscy inni.

Był tylko jeden barak dla funkcyjnych, specjalistów wyższej rangi. Mieszkali tam ci więźniowie, którzy w biurach pracowali, byli kierownikami, więźniowie, albo którzy mieli jakieś kierownicze stanowiska średniej rangi. Gdy mi powierzono kierownictwo tych wind wyciągowych, to mi zaproponowano też przejście na mieszkanie w tym ekstra baraku. Ale ja jakoś trochę się wstydziłem przed moimi znajomymi i kolegami. Nie chciałem się tak wyalienować z tego mojego środowiska; uważałem, że to będzie niezgrabnie, nieprzyzwoicie. Chociaż nie dlatego, żebym komuś krzywdę zrobił, nie za to, że ktoś cierpiał z tego powodu, ale to mi nie odpowiadało. I nie przeniosłem się do tamtego baraku. Ale to było zresztą na rok przed moim powrotem do Polski. To nawet nie ma o czym mówić. Pasmie tam, że miałem numer ewidencyjny 1W(i)555.

Religijnego życia na Workucie nie było, wykluczone. Myśmy tylko tak sobie, w czasie Świąt życzenia składali. Tam nawet nikt nie dążył do tego specjalnie. Na jedne Święta, pamiętam, na Bożego Narodzenia — to ktoś tam przyniósł, gdzieś ukradł czy co, mięso z rekina. To myśmy go pięć razy smażyli i wynosili na mróz, wciąż śmierdziało. Chcieliśmy sobie bibę na święta zrobić. Na końcu zjedliśmy, ale pewno z pięć razy się odsmażało. Ile razy przynieśliśmy z tego mrozu, to wciąż śmierdział ten rekin. Pewno z tego miejsca się nie je. Podobno boczek rekina jest dobry, ale boczek to nam się nie dostał, tylko z jakiegoś miejsca śmierdzącego. No i nie wiadomo, czy to było świeże.

Choroby panowały zawsze z powodu niedożywienia. Dezynteria i inne, a nie daj Bóg, jaż ktoś miał jakieś wieńcowe niesprawne serce, bo tego te straszne mroźne zimy, wykańczały szybko. Śmiertelność była olbrzymia, dużo umierało. Nie byłem zainteresowany tym specjalnie i nie miałem w to wglądu, ale wiem. Tam się żyło, tam się słyszało, że wywozili tam bardzo dużo dzieł w dzień martwych ludzi, a to byli przecież ludzie młodzi. Tam staruchów z centrum Rosji nie wieziono, bo wiadomo, że to nie były warunki dla staruszków.

Ucieczki się stamtąd nie zdarzały, bo stamtąd ucieczki nie były możliwe. Kiedyś uciekło stamtąd pięciu. Jedna ucieczka na przestrzeni 50 — ciu lat się zdarzyła, że jeden zjadł trzech po drodze swoich towarzyszy i udało mu się uciec przez całą tajgę. To jest niemożliwe do pokonania fizycznie, żeby tajgę pokonał. Gdyby nawet miał broń, to nie mógłby zabrać tyle amunicji i tyle zapasów, żeby te 4.000 km przez dziką tajgę przejść. Tam musiał ulec chorobom, trudom tej podróży i dzikim zwierzętom. To jest za daleka odległość. A pociągi były tak penetrowane, tak szperane przez wyszkolone psy, że nie mógł się zagrzebać, bo takie próby były nieraz, ale to nie zdawało egzaminu. Próbowano w węglu się zakrywać, albo gdzie, zawsze się kończyło niczym. Stamtąd ucieczki nie było. Człowiekowi siły nie starczyło żeby przejść ten kawałek tundry, gdyby się na południe udał i tajgi szukał.

Pracowałem jakiś czas w tym zakładzie remontowym, a później mnie przeniesiono na kopalnię, na taką małą windę ręczną, pomocniczą. Linę miała długości 100 m i służyła do wyciągu pomocniczego. I tam pracowałem pewnie ze trzy miesiące, ale nie miałem żadnej awarii i zdawałem dobrze egzamin i mnie przesunęli na kurs na

windy wyciągowe, kopalniane z prawdziwego zdarzenia. Te windy kopalniane mają liny długości do 500 m, to olbrzymie maszyny. Chodzi o to, żeby sprawnie się zachować, dobrze pracować na nich, żeby nie spowodować awarii, która może być bardzo kosztowna, bardzo niebezpieczna. Rosyjski język już miałem opanowany wtedy bardzo dobrze. No i na ten kurs to chodzili ci ludzie którzy byli tam wolni. Oni nie mogli wyjechać z Workuty, z tego okręgu. To byli przeważnie Niemcy znad Wołgi, ale ludzie wolni. I było dwóch takich jak ja, mieli wyrok, byli w obozie jako więźniowie. Ja ten kurs skończyłem celując i przeniesiono mnie na te windy wyciągowe jako pomocnika mechanika. Trzeba było za dużo rzeczy odpowiadać, zadbać o to, żeby te windy pracowały. Miałem do pomocy pięciu ślusarzy i było mi tam, w stosunku do tych nieszczęśliwych ludzi, którzy musieli zjeżdżać i kopać ten węgiel można powiedzieć bardzo dobrze. Była praca fizyczna, ale sporadycznie. Najtrudniejsze prace były raz na pół roku, wtedy kiedy się wymieniano taką linę. Taka lina ważyła 5 ton. Na to jest sposób, żeby ją wymienić, są techniczne różne tricki, żeby ją wymienić, ale może się zdarzyć, że taka lina ucieknie i później ją trzeba acetylenem ciąć, bo już nic z niej nie można zrobić, bo ona na dole. Nie tylko ucieknie, ale i rozwali całe zabezpieczenie szybu. Wtedy kopalnia stoi miesiąc. Żartów z takimi rzeczami nie ma. Tą robotę wykonywałem, do której się zobowiązałem, a zobowiązałem się, żeby ratować życie. To była jedyna droga. Wykonywałem dobrze i w taki sposób przeszło mi tam prawie 10 lat.

W tym czasie jak tam pracowałem, dwa razy były komisje. Takie dziwne trochę. Mówili, że ktoś z Moskwy przyjechał, kilku ludzi przyjechało i wołali wszystkich, którzy nie są Rosjanami. Byli z Polski, Węgier, Czechosłowacji, z Niemiec i sprawdzali dane personalne. I przede mną był na takiej komisji taki Kaziu Kozłowski z Nowego Sącza, przyjaźniłem się z nim. I pytam się: „No i co Kaziu tam?” — A tam maglowali mnie gdzie, skąd jestem, za co itd. i obywatelstwo i wpisali mi rosyjskie. — Jaki ty jesteś Rosjanin?! Co ty głupi jesteś, czy co? Nowy Sącz? Przecież oni wpisują tym co po tamtej drugiej stronie linii Curzona, ale ty masz 300 km do granicy Curzona! Mój Boże dałeś sobie wpisać?! — No co ja się będę z nimi kłócił na rany boskie, o takie rzeczy? No niech ich szlag. To mogło zaważyć na jego nieszczęściu.

Później, na drugi dzień mnie wołają też. I też zapisali gdzie się urodziłem, kiedy, a później chcą wpisać obywatelstwo radzieckie. Ja mówię: „Jakie radzieckie?! Major to zapisywał. — No jak, to przecież my was wyzwolili! — Nas żeście nie wyzwolili, a zabrali. Panie majorze, z geografią na bakier, niech się pan podciągnie z geografią! Przecież wyście zabrali po granicę Curzona, tak? — Tak. — A ja od granicy Curzona — gdzie Nowy Sącz, gdzie Rzym, gdzie Krym — od granicy Curzona ja jestem jeszcze 300 km na zachód! Nowy Sącz, Krynica, proszę zobaczyć. Za to co mu przygadałem, to mnie dał do karceru na całą noc, że w wodzie siedziałem. Zimą z tego karceru ludzie wychodzili z odmrożonymi stopami. Tylko taki kamień był tak, całą noc nogi w wodzie miałem po kostki.

Karcer to była taka piwniczka, 3 na 3 m i tylko na środku był suchy kamień, na którym można było usiąść, a nogi po kostki były w wodzie. I tam przesiedziałem, zimno jak cholera, całą noc. A nie było gdzie nogi podciągnąć. Na ten kamień się nogi nie wmieściły. Było bardzo zimno. Ale na drugi dzień „Dzień dobry, jakie obywatelstwo wpisujemy?„ Ja mówię: „Niech pan wpisuje polskie, na radzieckie ja się nie godzę. — Niech już będzie, jak taki uparty jesteś., I nie pozwoliłem, to nieprawda, że wszystko mogą Rosjanie zrobić co chcieli.

I później, po śmierci Stalina to się czuło, powiało jakimś wiatrem od razu. Nic się niby nie zmieniło, ale od razu zaczęli nam tam przysyłać więcej warzyw. Zaczęli nam płacić kieszonkowe pieniądze, część tych pieniędzy odprowadzali nam na kapitał żelazny, a część rubli, już nie pamiętam, ile na miesiąc, dawali nam na ręce i zrobili taką restaurację, że tam była kasza manna maselkiem tylko polana. Można było kupić to, a przedtem nie. I to po śmierci Stalina. Po pracy graliśmy w szachy, stałem się mistrzem w tej grze. Mówię, jakiś wiaterek powiał inny, nie wiem, czy się liczyli z tym, że trzeba będzie jednak nas pokazać jakiejs komisji z państw zachodnich. Mało tego, pewnego razu wołają nas, takich wolnych strzelców jak ja, bo komisja przyjechała. Niektórzy do domu będą szli, Polacy idą do domu! Ale nie wołają wszystkich. Przyleciał do mnie ten Kazik z Nowego Sącza i mówi: „Mnie nie wołają, mnie tam nie ma na spisie. Ty jesteś., Mnie zawołali tam też. Komisja stoi, jeszcze mnie obracają;” „Zobacz, po tylu latach, zobacz! Ja byłem odżywiony dobrze, ja nie kopałem węgla, inaczej jadłem, o higienę dbałem obojeście, tak byłem nauczony. Jak mnie zobaczyli, to mnie tak obracali. Ci z komisji tak mówią: „Zobacz jak ten chłopak wygląda! A gdzie ty pracujesz?” — Na windach wyciągowych. — A gdzie ty się odżywasz, gdzie ty jesz? — No, jem co mi się należy. Jako, mechanik wyciągowy ja mam piąty kocioł. — A starczy to tobie? — Starczy. — A czujesz się głodny? — Nie. No i mam jeszcze pieniądze, to mogę jeszcze w kantynie sobie dokupić. — Zobacz jak on zdrowie sobie zaszanował! To ty się cieszysz, że tutaj jesteś w obozie?! — Pewnie, że się cieszę.

Nas zebrali stamtąd dużo, dużo tych Polaków, a ten z Nowego Sącza płakał jak bóbr. Mówi, jak to się stało. Zaważyło to, że dał sobie wpieprzyć obywatelstwo radzieckie.

O nas ktoś z Polski wtedy chyba się upomniał, bo wątpię, czy Rosjanie sami się zagadnęli z Polski kogoś: „Zabierajcie swoich obywateli.” Proszę zauważyć, mnie tylko minęła połowa wyroku. Nie patrzyli na to, że mi zostało jeszcze połówka. To by mi darowali Rosjanie połowę? Czy widziałeś takiego Ruska, żeby darował komuś połowę? Dlatego też ja nie wierzyłem do końca. Myślę sobie — bo tam i takie siupy, opowiadali — myślę sobie: „Może nas wszystkich zbiorą, ubiorą, wywiozą do kamieniołomu pod Ural i pod karabin maszynowy?” Bo od nich można się było wszystkiego spodziewać. Taki Gonszarzewicz był, taki starszy człowiek już wtedy, technik dentysta. Ja mu pomogłem, żeby się dostał do swojej roboty. On jak by mógł, to by mnie na rękach nosił. Przyleciał do mnie i: „Piotruś, jedziemy do domu!” On już nie żyje, chciał koniecznie, żebym zamieszkał u brata jego w Poznaniu. On u tego brata chwilowo mieszkał. — Czekaj Mietek, nie ciesz się. Ruski to tak mogą powiedzieć, że cię do domu wiozą, a mogą rozwalić. — No i zebrali nas, umundurowali w te watówki, w te nowe kozuski, w nową bieliznę. Ale dali nam czekoladę, każdy dostał tych cukierków czekoladowych. Myślę sobie: „Jakby nas chcieli rozwalić, to

czekoladą by nas nie karmili." Bo jak człowiek jest w takich ekstremalnych warunkach, to bierze pod uwagę wszystko, każde żdźbło coś może znaczyć.

Zapakowali nas do pociągu i wiozą. Wiozą, przejechaliśmy Kotłas, nie jeszcze nie wiedzieliśmy. Mówią, że do domu, to nam ogłosili tam na Workucie. Przyszedł ten politruk, enkawudzista. — Słuchajcie, możecie się cieszyć. Rozporządzeniem jakimś tam z Rady Ministrów jesteście zwolnieni, pojedziecie do domu. Na mocy postanowień, kto ma jeszcze do odsiedzenia to jest mu darowane, a ci co nie mają, to jest postanowienie, że jedziecie. — O amnestii nie przypominam sobie, czy padło słowo amnestia, czy nie. Wiozą nas na południe. Kotłas — południe, Moskwa — południe. Od Moskwy na południowy wschód do Połmy, taka miejscowość, tam był stary obóz. Wpierw NKWD miało szkoleniowy obóz, później dla tych swoich więźniów mieli i tam do tego obozu. Są tam te gniazda strażnicze, ochrona jest. Są tam ludzie: Czesi, Słowacy, Niemcy, z każdej narodowości po trochu. — Co jest? — Tu z różnych miejscowości Związku Radzieckiego ludzie przechodzą kwarantannę półroczną. Musicie to przejść, czy nie ma jakiejś zakaźnej choroby. Nie pojedziecie do domu z chorobami, żebyście zakażali ludzi swoich tam Bogu ducha winnych. —

Tam sklepik, tam żywnienie bardzo dobre, kto miał pieniądze ten kupował. Ja miałem, trochę mi się uzbierało za ten rok, czy niecały rok, jak zaczęli płacić te pieniądze. Poddąłem zresztą myśl tym wszystkim co mają pieniądze, żebyśmy zrobili wspólny worek i żebyśmy podzielili pomiędzy tych bidaków, co grosza nie widzieli. A przecież coś potrzebują, chociażby jakąś czekoladkę sobie kupić, której 10 lat nie widzieli. Ja na tym nie zbiednieję, nikt z nas i tak też się i stało. Jeszcze mi w Polsce Janusz przypominał o tym.

Tam siedzieliśmy pół roku. To różne hocki klocki żeśmy robili. Ja w szachach byłem mocny, to w szachy ogrywałem Niemców, Czechów i innych. Czasami biliśmy się. Mnie powiedzieli: „Ty, Piotr, nie! Ty do bójki się nie nadajesz, to sobie daj spokój. Jeszcze ci tam głowę rozwał.” Ale nasi — tam chojraków było dużo — to bili się, Czechów tam prali i innych, bo do bójki my jesteśmy dobrzy.

Przyszedł 1954 rok, Nowy Rok, potem strajk żeśmy robili, musiał przyjść nasz konsul. Ochrzaniliśmy go, że jak to, po tylu latach teraz nas tu trzymacie?! Dosyć! Do domu chcemy!

Myśmy już nie byli traktowani jak więźniowie, a ochrona była dla naszego bezpieczeństwa i żebyśmy się nie rozleźli po tych wioskach, żebyśmy bękartów nie zostawili tam. Troszkę zostawiliśmy. Bo to wszystko młode, wyżarte wszystko. Otoczenie obozu to wioski były. Myśmy tam chodzili, bo to akurat jesień była, kto chciał, to na te wykopki szedł. Do dziewuch urywali się niektórzy. To było swojsko, to widać było, że to wolnością pachnie. Wiedzieliśmy już, że nas nie rozstrzelają. Nasz konsul zachował się przyzwoicie, ja sam pomagałem w uspokojeniu, mówiłem: „No chłopaki, to nie jest ein, zwei, drei, nas tutaj jest dużo, jakiś porządek musi być. Wytrzymajmy. Wytrzymaliśmy tyle, teraz widać, że do domu pojedziemy.” A niektórzy: „A co, kurwa, czy ty nie masz dosyć tego?!” — No, mam dosyć, też mi się chce do matki jak najszybciej, ale już poczekajmy. —

Po Nowym Roku załadowali nas do pociągu, też do takiego bydlęcego, ale ładnie ogrzanego i z żywnieniem było w porządku. Przywieźli nas na przejście graniczne Brześć. W Brześciu NKWD oddało nas naszym ubekom i do Tomaszowa Lubelskiego, do autobusów nas zapakowali. W autobusach nasi znów z karabinami stoją przy drzwiach i niektórzy nasi w płacz. Mieliśmy tam takich chłopaków, którzy zapomnieli polskiego języka, bo byli między ruskimi tylko. Gdy ich zabierano to 10 lat, 12 mieli, a teraz już starsi. I zapomnieli. — To po to do Polski? Teraz znów pod karabinem? Znów trzeba im było tłumaczyć: „No słuchajcie, to nie mogą inaczej. Bo niektórzy by już polecili na wolność, diabli wiedzą jak. No to poczekajmy trochę.” Pojechaliśmy do Tomaszowa Lubelskiego do obozu PUR, do tego obozu repatriacyjnego nas zawieźli. No tam znów nam wytłumaczyli, że to jest obóz kwarantanny. Że tu muszą nas zapisać do swoich ksiąg, żeśmy przybyli ze Związku Radzieckiego. No i trzeba pomyśleć, który gdzie pojedzie. Jeżeli ktoś nie ma dokąd jechać, trzeba gdzieś go ulokować. „Bądźcie cierpliwi, nie buntujcie się.”

W Tomaszowie Lubelskim ta obsługa cała była bardzo miła, żywnienie bardzo dobre, ale nas przesłuchiwało. Mnie przesłuchiwało w ten sposób: ken się przedstawił z nazwiska i mówi: „Ja chciałbym o panu coś wiedzieć. Przyjechał pan do nas do Polski. — Pan jest sędzią śledczym? — pytam się. On nie odpowiedział mi wprost, ja drugi raz się pytam: „Czy pan jest sędzią śledczym? Czy ma pan nakaz prokuratora mnie przesłuchiwać? — Nie, nie mam nakazu od prokuratora. A dlaczego się pan pyta? Ja mówię: „Bo proszę pana, jeżeli ma pan od prokuratora nakaz mnie przesłuchiwać, to ja muszę ściśle odpowiadać prawdę, a jeżeli nie, to ja mogę panu banialuki pleść i sobie pogadamy. — O cholera, to prawda, że pan z niejednego pieca chleb jadł. Ja mówię: „No tak. Na Workucie, panie, jaki tam chleb był różny.” Zaczęliśmy gadać. — Gdzie pan był? — Powiedziałem mu, że w Niemczech, no i tak mniej więcej jak mnie aresztowali. — A w Rosji gdzie pan był? — Ja mówię: „Jeżeli pan nie ma nakazu od prokuratora, to niech mi pan takich pytań nie zadaje. — Dlaczego? — Bo jak przez granicę przejeżdżałem, to napisałem taką karteczkę, że nie będę rozpowszechniał wiadomości ekonomicznych i politycznych o Związku Radzieckim. I za to może mnie pan kazać aresztować. To na jutro niech się pan postara o taką cedułkę od prokuratora, to będziemy gadać.” — Wycofał się od razu. Ale inne pytania. — Dokąd pan pojedzie? — Do mamy. Tyle lat, panie. — Do Piorunki? — Tak. — No ale rodziców tam nie ma. — Jak to, nie ma? Co, jakieś nieszczęście się przydarzyło? — Nie, za granicą.” —

I mnie od razu tak błysnęło, bo w Ameryce dwie ciotki były. Jak chodziłem do szkoły to mi przysyłały na ołówki. A dolar to kosztował 5 zł i 17 gr. A 5 zł to było dużo przed wojną. A ja raz kupiłem wina i spiłem kolegów i dyrektor wołał ojca, że mu klasę rozpijam. I była wielka chryja. I ojciec napisał ciotce, żeby mi więcej pieniędzy nie przysyłała i nie psuła chłopaka. Więcej mi już nie przysyłała.

Wiem, że te ciotki tam były, myślę sobie, że tam prysnęli. Wojna się skończyła, może jakimś cudem zostawili tu wszystko i tam poszli. — Za którą granicą? — pytam. — To, proszę pana, to my już nie wiemy. To już pan

niech przez Czerwony Krzyż się stara. Jak pan zacznie pracować tutaj, to wszędzie Czerwony Krzyż jest. — Zobaczcie jak mnie spławili!

— To gdzie ja teraz pójdę? Przede wszystkim to muszę jakieś pieniądze zarobić, przecież muszę żyć. — Co pan tam robił w Związku Radzieckim? — Na windach wyciągowych przykopalnianych pracowałem. — No, to w tym fachu to najlepiej na Śląsku, proszę pana, tam najlepiej płacą. — I ja się tego uczepliłem, myślę sobie: „Muszę żyć, muszę zarobić.” I się na to zgodziłem. Dali mi bilet do Wałbrzycha, i jakiś świstek, nie wiem co to było napisane. Jakis papierek, jak będę się starał o dowód osobisty. Nie byłem na tym etapie, żeby to zapamiętać, żeby tego przypilnować.

Jeden papierek oddałem na kopalni, a drugi, jak się starałem o dowód osobisty. Teraz by mi było to bardzo potrzebne. Podobno wszystkie papierki przesłali tutaj do archiwum w Poznaniu, ale nie ma tam nic, co by mówiło, że wróciłem ze Związku Radzieckiego.

Przyjechałem na tą kopalnię i mówię, że obiecano mi tutaj, że dostanę robotę w swoim fachu. W Związku Radzieckim byłem na kopalni jako mechanik. Ja już nie mam pretensji, żebyście mnie zatrudnili jako mechanika, bo nie będziecie kogoś wyrzucać, ale ja jestem maszynistą bardzo dobrym, ja się znam na tym. — No to dobrze, to my sprawdzimy, czy się pan na tym zna. — I sprawdzili zatwierdzili jako takiego podmiennego na międzypozioomie. To było w Wałbrzychu kopalnia Thorez i jeszcze jedna kopalnia — nie wiem jak się nazywa, ale ostatnio na Thorezie. Jak któryś zachorował, jak urlop miał, to ja podmieniałem.

Dali mi pokój w hotelu robotniczym. Poprosiłem też zaliczkę, dostałem ją, bo przecież muszę za coś żyć i zacząłem pracować na kopalni. Poszedłem do rady miejskiej, żeby mi dali jakąś zapomogę, że jestem goły jak święty turecki, że mam tylko waciak...Mówię, że chciałbym tę skórę zdjąć, upodobnić się do ludzi, to on mówi, ten urzędnik: „To proszę pana, pan nie przepije tego, jak panu dam? — Panie, to niech mnie pan pocałuje w dupę. To nic już od pana nie wezmę!” Tak powiedziałem dokładnie i obróciłem się na pięcie i poszedłem. Już więcej tam nie poszedłem. Takie chamidło. Cały czas taką gehennę przeżyłem, a on mi się pyta, czy ja nie przepiję. Myślę sobie: No, no takie chamidło!., Już więcej nie poszedłem po nic.

Dawałem sobie radę jak mogłem sam. Pozbyłem się tych watówek, pozbyłem się tej drewnianej walizki, co z nią z Rosji przyjechałem. Powoli dorabiałem się. Zapisalem na trzeci rok, zdałem do technikum górniczego, bo chciałem się brać jakoś za naukę, żeby się trochę czegoś poduczyć. Stwierdziłem w międzyczasie, że ja w Wałbrzychu nie mogę żyć, bo jak wieczorem przesunąłem palcem po kołnierzyku, to zostawała droga. Miałem dosyć kopalni. zaprosił mnie ten Goszarzewicz do Poznania. On był u brata w Poznaniu. Zaczął mnie serdecznie namawiać: „Zostaw ten Wałbrzych a przyjedź tu. Tutaj znajdziemy ci robotę, tu zamieszkaasz u brata.” Ja się zgodziłem. On w Bydgoszczy na stałe mieszkał. Siostra mu tam załatwiła wszystko. Przyjechałem do Poznania, zostawiłem ten Wałbrzych, zamieszkałem u jego brata. A jego brat miał córkę, mężatkę imieniem Ula. I ten Mietek nagadał o mnie za dużo tej Uli. Wieczorem, ja położyłem się spać, a ta Ula przyszła do mnie. Ładna z niej dziewczyna, a ja głodny jak wilk! I musiałem uciekać na drugi dzień stamtąd. Myślę sobie, ja ludziom nie będę płacił świństwem za dobroć. I ja z Poznania musiałem wiać. Nie powiedziałem nikomu o tym, ale musiałem wiać. Nie dlatego, że ta Ula miała dziecko, nie dlatego że była mężatką, tylko dlatego, że to była krewna tego Mietka i tych ludzi, co mnie przyjęli w dobrej wierze. Wszystkich przeprosiłem. Ten Warpechowski — wujek Janusza Boguckiego, z którym wróciłem zaproponował mi, że będzie się starał, żebym studiował z jegobratankiem, czy siostrzeńcem, a on wszystko pokryje, bo on był bardzo bogatym człowiekiem, wziętym lekarzem. To mi się też nie podobało. Taki chojrak! Zawsze o sobie za dużo myślałem, bo ja byłem zarozumiały jak cholera, nawet ten Sybir nie wybił mi tej zarozumiałości. Myślę sobie: „Ja będę na czymś utrzymaniu?!”, Wziąłem pupę w garść i jadę z powrotem do Wałbrzycha.

Po drodze spotkałem, taki traf, kobietę. To była moja pierwsza żona — ona jechała wtedy do Szklarskiej Poręby na wczasy. Dogadaliśmy się. Kiedy wracała z wczasów, ja wyjechałem na dworzec, to był 54 rok. Pobyliliśmy dwa dni w Wałbrzychu, przyjechałem do niej do Poznania, ożeniłem się. Ona miała dziecko. Ja go uważam za syna, bo ja go wychowałem. On nie ma ojca, nikogo. Żona zmarła, miała chore serce. Długo chorowała. Miałem dużo nieszczęścia w życiu, ale do dobrych kobiet, może nie do pięknych, ale do dobrych kobiet to miałem szczęście, bo tamta była dobra, a druga żona jeszcze lepsza.

Po miesiącu mojego pobytu w Wałbrzychu poszedłem wyrobić sobie dowód osobisty. Byłem potraktowany z góry, nieprzyjemnie, temu też powiedziałem: „Panie, dlaczego pan na mnie tak fuka? Pan mnie uważa za przestępcę. Ale ja się do Polski nie prosiłem, mnie przywieźliście sami do Polski. I dzisiaj usiądę i napiszę do Urzędu Repatriacyjnego, żeby mnie wysłano tam z powrotem. Ja tam już miałem dobre życie. Ja miałem co jeść, ja miałem co pić, ja miałem co pierdolić. Panie mi tam już nic nie brakowało, po cholere wyście mnie tu ciągnęli?! Po to, żeby pan na mnie fukał? Bo pan jest urzędnikiem na milicji?.. Tak cicho się stało jak cholera. Nie wiedziałem jaka będzie reakcja, ale nie mogłem sobie tego podarować. Takie rzeczy to się pamięta. Ale dostałem dowód osobisty na podstawie skierowania z obozu. Jedno skierowanie było do kopalni, a na podstawie drugiego dostałem dowód osobisty. I to była konieczność, bo inaczej nie mógłbym się nigdzie ruszyć.

Nie wyobrażałem sobie dokładnie, jak może wyglądać polska rzeczywistość. Wyobrażałem sobie, że będzie wyglądać zupełnie inaczej, nie tak, jak było. Dlatego, że wielu rzeczy ja się nasłuchałem w Związku Radzieckim. Zostałem przesiąknięty taką atmosferą, jak brudna szmata, którąś ktoś ścierał brudy. Kiedy się ją namoczy i wyciska, to taka żybura leci. To nie jest ten mebel, na czym to leżało, to nie jest ta szmata, przez którą to przeszło, ale to coś jest. Wiedziałem, że ja się w tym muszę znaleźć, nie wiem jak, ale muszę. Wiedziałem, że to nie będzie tak, jak było. Zdawałem sobie sprawę. Nie wierzyłem znów z drugiej strony — to mi zaszkodziła ta odrobina zarozumiałości — że jeżeli inni żyją, żebym ja nie potrafił, żebym ja się nie umiał znaleźć.

Natomiast zostałem bardzo dokładnie zważony, jak mi powiedział mojej żony szwagier. Chodziły słuchy o nim, że on gdzieś tam ma jakieś powiązania z UB, bo sobie poczynił odważnie. I ja mówię, do niego: "Słuchaj, to ja będę musiał się za jakieś studia wziąć, bo ja chcę jak najwięcej zebrać wiadomości, żeby zacząć to życie normalne...". A on mówi: "Ana co ci to, Piotr? Ty myślisz, że po tym wszystkim co przeżyłeś, że na ciebie czeka tu stół, że dadzą ci stanowisko? Ty będziesz ganiany z kąta w kąt jak rudy pies! To ty nie trać czasu i zdrowia na studia, chłopie, to bierz się za pilnik i rób to co potrafisz! Żebyś miał na dzisiaj i na jutro chleb dla dzieci!", I ja to przyjąłem za odezwanie się normalne, życzliwe odezwanie się. Bo myślę sobie: "A rzeczywiście, jeżeli ja nawet będę miał dwa fakultety, to co mi z tego przyjdzie? To będę uczył się dla siebie, sztuka dla sztuki będę powielał?..". Później żona mi zachorowała, ja zachorowałem na wrzód żołądka, kamicę nerek. To mnie u Cegielskiego zatrudnili... Pod koniec 1954 roku zostałem na stałe w Poznaniu. W Workucie miałem prawo pisanie listów i pisałem, żadnego listu ode mnie nikt nie dostał. Pisałem do rodziców. Ale rodziców nie było, rodzice zaraz po wojnie zostali wywiezieni do Kazachstanu. Okazało się, że Piorunka została spacyfikowana przez wojsko radzieckie w 1945 roku. Część mieszkańców wywieziono do Kazachstanu, część pod Legnicę, na Ziemiach Odzyskanych. Ale ja odwiedziłem rodzinne strony. Taki krewniak tam mieszkał, taka kuzynka Polańska, to ona mówiła, że gdyby z Rosji coś przychodziło, to by coś wiedziała. Bo ja pisałem później do sołtysa. Ja myślę, że tam w ogóle nic nie przychodziło przez cały czas. Ja pisałem chyba, ja wiem, może ze 20 listów. Potem, już po 1954 roku przypadkowo spotkałem znajomych z Piorunki, którzy mi powiedzieli gdzie jest moja rodzina. Że oni nie są w Kazachstanie, ale na byłych terenach Polski w Czortkowie. Dostałem adres, napisałem i zacząłem się starać żeby ich odwiedzić. Trwało to, bo trzeba było mieć zaproszenia, ale matka tak była energiczna, tak chodziła, dobijała się i — o dziwo — dali jej. Rosjanie nie bardzo przeszkadzali, żebym tam pojechał. Opornie to u nich wszystko opornie robią. I jak pojechałem w 55 roku, to oni nie w samym Czortkowie, ale Włynanka to się nazywa.

Czortków to jest miejscina nieduża może 20.000 mieszkańców Kiedyś to było w Polsce, w okresie międzywojennym. Od Tarnopola 90 km, w kierunku na Zaleszczyki. Gdy przyjechałem do tego Czortkowa, szedłem przez mostek, żeby dostać się do tej Włynanki, która jest taką wioszczyną malutką, tuż przy Czortkowie. Czortków w jarze, a Włynanka nad jarem.

No to spotkałem matkę, ale jej nie poznałem. Matka też mnie nie poznała po tylu latach. Było trochę radości, bo w domu uważali, że mnie nie ma wśród żywych. Ktoś usłużny im tam powiedział, że widział, jak mnie rozstrzelali w czasie wojny gdzieś pod Pragę. No ale to się nie stało. Jeździłem często, tak jak mogłem, jak wytrzymywałem materialnie, co dwa co trzy lata. Siostrzyczki chodziły doszkoły. Tam było kiepsko z manufakturą — każda szmatka była na wagę złota. Jak przyjechałem z jakimiś tanimi perkalikami dla siostr, to jakby wujek z Ameryki przyjechał, tyle radości było! Nie zapominałem ich odwiedzać. A później, gdy skończyły szkołę, studia, za mąż powychodziły zaczęło im się powodzić lepiej niż mnie. Ale to dzięki temu, że oni wyrobili sobie sposób pomagania sobie nawzajem. Tak bym chciał, żeby u nas sobie ludzie pomagali nawzajem. Ale to trzeba być wśród obcych, żeby zachować, albo wypracować styl, no i odrobinę uczucia. Tego ludzie potrzebują wszędzie, a na obczyźnie szczególnie. Pomocy jeden drugiemu.

Rodzice, gdy wywieziono ich do Kazachstanu byli nie tylko zmartwieni, ale zrozpaczeni. Przecież Kazachstan to klimat kontynentalny, a oni byli wychowani i żyli w górach. W Kazachstanie trudno jest żyć człowiekowi, który się wychował w górach. Proszę sobie wyobrazić, że tam nie ma na czym nawet herbaty zagotować! Na kiziakach, na suszonych odchodach bydłęcych gotują. Po śmierci Stalina, zaczęto rozpowiadać, że Polacy mogą wracać do Polski, no to matka zebrała całą rodzinę i powiozła nad granicę, tutaj w kierunku Przemyśla. Ale w Medyce powiedzieli, że musi być bumażka z Moskwy. Jak bumażki z Moskwy nie masz, to przez granicę nie przejedziesz, kobieto z rodziną!

Jak się sucharki na granicy skończyły, to matka rodzinę wiezie z powrotem. I nie tylko matka, bo tam takich rodzin było dużo. Zatrzymali się w Tarnopolu, bo trzeba się było przesiąść na inny pociąg, do Kazachstanu. A banda opryszków takich młodocianych skoczyła i chciała im zabrać to, co mieli. Zrobił się harmider, szum, przyszła milicja i przyszedł w jakiś sposób sekretarz z wojewódzkiej partii i pyta się, dokąd ci ludzie, tak dużo tych ludzi, dokąd to jedzie wszystko. Powiedzieli, że jadą z powrotem do Kazachstanu. Kazał im zaczekać do drugiego dnia, dał im obstawę ze straży, żeby ich nie szarpali te oprychy. W każdym razie dostał pozwolenie, że mogą się osiedlić na tych terenach, nie muszą jechać do Kazachstanu z powrotem. To był szczęśliwy zbieg okoliczności dla wszystkich. Bo tutaj przecież i klimat dobry, i ziemia żyzna, no i ręką podać — Polska. Moja rodzina, matka, ojciec, siostry bardzo się cieszyli. Ale pomimo tego i tak są za granicą. Nie jesteśmy razem, nie jesteśmy w jednym kraju. Ja jeździłem i teraz się wybieram, tylko jest trudno przez granicę trudno jest się dostać. Kolejki tak straszne, że dla człowieka takiego starego jak ja, 70 lat, to nawet niebezpiecznie. Zobaczmy, co będzie dalej.

Ja myślę, że wyrobiłem sobie pewien pogląd mój osobisty na sprawy narodowościowe. Dawniej na przestrzeni całej historii, te sprawy nie układały się skomplikowanie, a raczej prosto: "Mam krzepę w garści, to idę i zabieram, co mi się podoba. Jeżeli zdolam, to jest moje...". Teraz chyba już tak nie można ani patrzeć, ani rozpatrywać w takich kategoriach świata. Świat się skurczył, odległości są malutkie. Na pewno musimy być na tyle mądrzy, żeby skończyć z waśniami narodowościowymi. To od Dżyngischana począwszy nic nie dało dobrego — wciąż lzy, krew i nieszczęścia. A tyle mieliśmy mądrych myślicieli! I nie wiem, czy to niedoskonałość człowieka. Mówią, że Bóg stworzył na swoje podobieństwo. Nie wierzę. To znaczy, że on też niedoskonały bardzo. Żeby człowiek nie potrafił mądrzej zabezpieczać swoich interesów na tej naszej malutkiej planecie? Ale wierzę, że musi przyjść po rozum do głowy.

Kiedy rozmawiałem o Workucie po powrocie do Polski? Tak prawdę mówiąc, to nie rozmawiałem. Dlatego że tymi sprawami interesują się najbardziej ludzie, którzy mają część swojego życiorysu takiego jak ja mam. Większość ludzi z tym się nie styka całe życie i nie będzie im to potrzebne do samej śmierci. Każdego człowieka wszystko nie może dotyczyć.

Czy spotkały mnie jakieś nieprzyjemności z faktu pobytu na północy? Nie, tylko na Wawrzyniaka, jak mnie zwolnili na podstawie reorganizacji etatów, bo to jest wojskowy zakład. To ja myślę, tam samochody remontowali. Ja tam zadarłem z personalnym. To może sprawa osobista. Ja należę do tych skromnych ludzi, że się nie za bardzo pcham i nie bardzo prowokuję. Ten okres właśnie cały, ja nie lażem na rożen. Ja miałem na uwadze to wszystko, ten cały balast, schodziłem wszystkim z drogi. Ja nigdy nie szedłem tak, żeby stwarzać *qui pro quo*, bo wiedziałem, że nie wygram. Przegram, przyjdę do domu i powiem dzieciom, że wasz tata bohater, a wy siedźcie bez kawałka chleba! To nie jest prosta sprawa. Ja się bardzo zmieniłem, gdy się obarczyłem rodziną. Ja przedtem byłem gotów każdemu do gardła skoczyć. A jak już miałem ten obowiązek dać kawałek chleba — sam się dziwię, jak się zmieniłem. To wtedy pierwsza myśl była, czy to mi nie zaszkodzi w zadbanie o rodzinę. Ja przeżyłem, to było ciężkie, ale przeżyłem bardzo skromnie. Może to i niedobrze, może trzeba było troszkę na przebój, gdzieś się pchać. Chociaż nie, nic bym też nie zwojował. Może nerwy bardziej sharatał, więcej nic.

*nagrał i opracował Krzysztof Gozdowski
spisała Stanisława Świerkowska*

Oddział Poznań

marzec - kwiecień 1992